DEFILADA

TYGODNIK ŻOŁNIERZY POLSKICH SIŁ ZBROJNYCH W NIEMCZECH

ROK III | 19/26 GRUDNIA 1946 | Nr. 51/52

ŚWIATŁO w ciemnościach

W dostojny a pełen niewypowiedzianego uroku wieczór wigilijny bierzemy znów — wszyscy Polacy — opłatek do ręki, aby się nim przełamać z najbliższymi, których mamy przy sobie, by się tęsknotą połączyć z tymi, którzy są daleko i o nas w tej chwili myślą, by się chlebem miłości i pokoju dzielić ze wszystkimi rodakami, bez względu na to, jakie oceany, morza lub góry, jakie granice i kordony i jakie, niestety, mury i kraty więzienne lub druty obozów nas od nich dzielą. Po przez wszelkie przegrody i przeszkody idą nasze życzenia do wszystkich ludzi dobrej woli na całym świecie. Sięgamy wspomnieniem i modlitwą ku legionowi tych, którzy odeszli od nas na zawsze.

Zdawałoby się, że po doświadczeniach ośmiu lat, które upłynęły od ostatniego, w świetle minionych wypadków jakże szczęśliwego wieczoru wigilijnego, trudno nam dziś myśleć i mówić o szczęściu i o pokoju. Lecz właśnie w ogniu owych prób może głębiej spojrzeliśmy prawdzie w oczy i lepiej dziś rozumiemy, czym jest szczęście wolności, braterstwo, miłosierdzie i sprawiedliwość, na czym polega dobra wola i prawdziwy, trwały pokój. Dlatego właśnie treść naszych życzeń jest bliższa istotnych potrzeb tych wszystkich, do których je kierujemy, bliższa też rzeczywistości i prawdy; bliższa chrześcijańskiego ideału, który się narodził w betlejemskiej stajence.

*

Sam o Sobie powiedział w najwyższej chwili próby, że się po to narodził i po to przyszedł na świat, by świadectwo dać Prawdzie. A gdy się rodził w grudniową noc ludzkości, przełamały się czasy i brzmiał anielski śpiew, który wielbił Boga a ludziom dobrej woli oznajmiał pokój. Chwała Bogu na wysokościach, oddawana całym życiem, w każdej jego chwili i warunkach, przez poszczególnych ludzi i ich społeczności stała się wyrazem dobrej woli i warunkiem pokoju.

Pokoju, którego wszyscy tak bardzo dziś potrzebujemy, o którym się tak wiele mówi i pisze, bo go wciąż jeszcze nie ma. I którego nie będzie tak długo, jak długo drogi do niego nie oświetli nam jedyne światło, które świeci w ciemnościach i którego żadne ciemności nigdy nie ogarnęły i nie ogarną.

Żyjemy bowiem w epoce, w której każdy już rozumie, że tak, jak żywa komórka może żyć tylko dzięki tajemniczym związkom z energią wyższą, tak i każdy człowiek i każdy naród może prawdziwie żyć i rozwijać się tylko dzięki połączeniom z siłami, które stanowią istotę życia. Nauka o Wcieleniu Słowa Przedwiecznego; które „stało się ciałem" — to naoczny przykład, jak wyższe siły twórcze wstępują w te formy, które im człowiek gotuje na ich przyjęcie. Na odbiór tych fal trzeba być nastawionym, bo inaczej wszystko się kończy i niszczy, gdyż stacje odbiorcze nie są zdolne do odbierania tego, co ożywia, co podnosi, co nadaje sens życiu i ukazuje je w pełni jego przeznaczeń i wartości.

*

Święta Noc była najjaśniejszym dniem ludzkości, stała się olśniewającą rzeczywistością, bo włączyła człowieka i jego sprawy w najistotniejszy nurt Życia, bo rzuciła snop światła na jedyną Drogę, ukazując jako jej cel jedyną Prawdę.

Przenikliwy wychowawca chrześcijański nazwał tę noc „punktem ciężkości wszelkich działań, kapitałem wszelkich przedsięwzięć, gwarancją wszelkich układów, lekarstwem na wszelkie schorzenia, prawem wszelkich państw, fundamentem wszelkich fundamentów. Kto tego widzieć nie chce, uliczne lampy za gwiazdy bierze a na jarzące słońce rzeczywistości oczy dobrowolnie zamyka. Bo źródło wszelkiej prawdy i wszelkiego poznania przyszło na świat w betlejemskiej stajni i dziś w epoce próby zaczynamy już powoli chwytać ten sens istnienia, zaczynamy poznawać jakie są moce, którymi świat i życie opanować i zwyciężyć możemy".

*

Na przełęczy czasu zjawił się wśród nas. Ten, który chciał, by go przede wszystkim kochano jak Brata, jak się kocha małą Dziecinę ludzką. Zawierzył się nam w całej swej ludzkiej niemowlęcej słabości a nie otworzywszy jeszcze ust dał nam największą z nauk społecznych: naukę dobrowolnego ubóstwa. Samotny żłobek i samotny krzyż staną się dwoma biegunami Jego Dzieła Zbawienia, które ogarnąć potrafi tylko gorące, miłujące serce. Dlatego tak bliski i tak drogi stał się On i Jego Chrześcijaństwo polskiemu sercu i dzisiejszej polskiej rzeczywistości.

Stajemy dziś u progu betlejemskiej stajenki i spokojnie patrzymy w światło z niej bijące. W obliczu idących wydarzeń, w zrozumieniu wiecznych praw, silni wiarą, pełni nadziei i dobrej woli patrzymy w przyszłość przekonani, że gdy Bóg się rodzi, truchleją złe moce. A. J. O.

Życzenia Dowódcy P. S. Z. w Niemczech

W imieniu wszystkich podległych mi żołnierzy składam naszym Rodakom, rozsianym po Niemczech, najlepsze życzenia Wigilijne i Noworoczne.

Śle im słowa otuchy i pokrzepienia oraz wyrazy niezachwianej wiary w lepszą przyszłość.

Gdy zaś łamać się będziemy opłatkiem, niechaj myśli nasze pobiegną do Kraju i zaniosą tam gorące pozdrowienia.

Boże Narodzenie 1946.

RUDNICKI, gen. bryg.

Gdy przyjdziesz jako dziecię tej nocy . . .

Krzyż znaczę Boży nie przeto,
bym się na krzyż przyjmował;
lecz byś mnie, Boże, od męki,
od męki krzyża zachował.

Byś mnie zachował od tego,
coś zasię za mnie przebył;
bym ja był z Twoich wiernych
a niewolnikiem nie był.

Bym ja miał z Ciebie siłę,
jak wierzę w Twoją wiarę,
i żebym się doczekał,
jak miecze ślesz i karę.

Byś to, coś zapowiedział,
dopełnił w moim życiu:
by weszło światło w nocy
i trysnął zdrój w ukryciu.

By trysło źródło świeże
za laską Mojżeszową
i byś mi wskazał leże
i dach nad moją głową.

Byś zwiódł z wędrówki długiej
mój naród do Wszechmocy!
Byś dał, co mają inni,
GDY PRZYJDZIESZ, JAKO DZIECIĘ, TEJ NOCY.

Bożego Narodzenia
ta noc jest dla nas święta.
Niech idą w zapomnienie
niewoli gnuśne pęta.

Daj nam poczucie siły
i Polskę daj nam żywą,
by słowa się spełniły
nad ziemią tą szczęśliwą.

Jest tyle sił w narodzie,
jest tyle mnogo ludzi;
Niechże w nie duch Twój wstąpi
i śpiące niech pobudzi.

Niech się królestwo stanie
nie krzyża, lecz zbawienia.
O daj nam, Jezu Panie,
Twą Polskę objawienia.

ST. WYSPIAŃSKI — Z „Wyzwolenia".



WSZYSTKIM CZYTELNIKOM I PRZYJACIOŁOM PISMA

Najserdeczniejsze życzenia świąteczne

z okazji świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku 1947

SKŁADA REDAKCJA „DEFILADY"

NASTĘPNY NUMER
„Defilady" ukaże się z datą 2-go stycznia 1947.

Nasza rocznica

W tych dniach mija dwa lata od chwili ukazania się pierwszego numeru „Defilady", na ziemi holenderskiej jako organu żołnierzy Pierwszej Dywizji Pancernej. Już wówczas do Dywizji napływała fala nowych żołnierzy, Polaków wyzwolonych z armii niemieckich, łaknących polskiego słowa, którego byli pozbawieni od lat. Już wówczas na drodze Dywizji leżały liczne osady wychodźstwa polskiego przedwojennego we Francji i Belgii, także pozbawione od lat polskiego pisma. Toteż nasz tygodnik, od pierwszej chwili miał charakter społeczny, coraz silniej zaznaczany w miarę rozwoju wydarzeń.

Zasadnicza zmiana w położeniu i roli pisma nastąpiła na wiosnę r. 1945. Dotąd „Defilada" towarzyszyła Dywizji w jej marszu wgłąb kontynentu, zatrzymywała się z nią na postojach, drukowana i redagowana była w najróżniejszych warunkach, niepodobnych do normalnych. Z chwilą klęski Niemiec zakończyły się nietylko działania wojenne, ale równocześnie otwarły się obozy niemieckie i setki tysięcy Polaków wyszło na wolność. Tym Polakom w pierwszym rzędzie służyć miała odtąd „Defilada". Zmienił się format pisma, jego układ i treść.

Czytelnicy zdają sobie sprawę z trudności wszelkiego rodzaju towarzyszących wydawaniu i rozpowszechnianiu naszego tygodnika w istniejących warunkach. Pomoc z ich strony, której dowody wciąż otrzymujemy utwierdza nas w przekonaniu, że te dwa laty tak różnorodnej pracy dziennikarskiej nie były zmarnowane.

ODRA I ZBRUCZ

10. marca 1947 r. rozpoczyna się w Moskwie konferencja w sprawie pokoju z Niemcami. Jeśli do tego czasu Mołotow znów nie nałoży rogów, jest możliwe, że ten „najtrudniejszy orzech" zostanie rozgryziony.

W każdym traktacie pokojowym zagadnieniem istotnym są nowe granice. Opinia niemiecka, przemawiająca co raz śmielej i głośniej, wysuwa to zagadnienie na czoło, słusznie widząc w nim rzecz znacznie trudniejszą do odrobienia, niż polityczne i gospodarcze artykuły traktatu. Niemcy — bodaj na zewnątrz — godzą się z tym, że coś muszą stracić. Ale oczywiście bronić będą każdego skrawka ziemi, a najzajadlej obszarów na wschód od Odry. Zapowiadają to dziś otwarcie i na tym punkcie są solidarni.

Realiści niemieccy niewątpliwie uświadamiają sobie, że wszystkiego nie wybronią. Nawet Byrnes, w którym pokładają nadzieję, uznał rewizję wschodnich granic Niemiec na korzyść Polski za sprawę oczywistą i konieczną, nie uważając jedynie linii Odra-Nysa za ostateczną i niepodlegającą dyskusji. Przewidywać więc należy ze strony Niemiec uruchomienie wszelkich sprężyn, argumentów i międzynarodowych kontaktów, by w rachunku strat na Wschodzie wytargować, co się da. Przewidywać należy, że — nie tylko ze strony niemieckiej — lansowane będą różne koncepcje „kompromisowe". Głównym argumentem, przemawiającym do opinii świata, będzie zapewne nie tyle wyżywienie Niemiec w razie utraty ziem wschodnich, bo ten argument da się łatwo odeprzeć przy pomocy statystyk niemieckich, ile wzgląd na przyszłe stosunki polsko-niemieckie. Przy granicy Odra-Nysa, z którą nigdy Niemcy nie pogodzą się, stosunki te będą chronicznym zagrożeniem pokoju. Taka jest teza propagandy niemieckiej, na którą antyteza polska może być tylko jedna: Niemcy muszą otrzymać takie warunki pokojowe, by musiały pogodzić się z nowym stanem terytorialnym i w jego ramach szukać dla siebie możliwości życia.

Dla komunistów niemieckich najdogodniejszym stanem byłaby sowietyzacja Niemiec, przy której w porozumieniu z Moskwą łatwo przesunęłoby się granice z Polską dowolnie na wschód. Ale — bodaj chwilowo — szanse na poparcie przez Moskwę interesów niemieckich przeciw Polsce są małe i musiałoby dużo zmienić się w samych Niemczech, by Stalin i Mołotow uznali swe oświadczenia w tej sprawie za niebyłe. Dla nacjonalistów niemieckich, zorientowanych na Zachód, najlepszą koncepcją byłyby jakieś drobne poprawki graniczne z Polską przy przyznaniu Polsce z powrotem granicy ryskiej. Ale urzeczywistnienie takiego planu wymaga wojny Zachodu z Rosją, lub wypadków innych, które zmusiłyby Rosję do przywrócenia status quo z r. 1939. Stąd rozpowszechniony w Niemczech „katastrofizm", nie tylko w nastrojach szarego człowieka, ale i w planowaniu kół elitarnych. Z tego punktu widzenia pewne odprężenie w międzynarodowych stosunkach dyplomatycznych i możliwość, że stan ten utrzyma się, a nawet pogłębi do marca, jest rzeczą, której Niemcy najmniej pragną.

A nasze stanowisko? Kategoryczna obrona Odry i Nysy jest może jedyną sprawą nadrzędną dla wszystkich Polaków. Mogą być i są inne motywy, jakimi kierują się broniąc tej granicy p. Osóbka-Morawski i p. Arciszewski. Morawski przestanie jej bronić, gdy taki rozkaz otrzyma z Moskwy, podczas gdy żadna siła nie zmusi do zmiany stanowiska p. Arciszewskiego. Ale tak się w tej chwili złożyło, że ta granica jest sprawą ogólnonarodową, jedną z bardzo nielicznych, których nie dotknęła wielka schyzma.

W przeciwieństwie do pragnień niemieckich — żaden Polak nie da się skusić transakcją odwrotną do Jałty, t. j. zwrotem ziem wschodnich w zamian za odzyskane na zachodzie. Nie istnieje między obu sprawami żadne iunctim. Natomiast na tym odcinku rysuje się bodaj najostrzejsza różnica między reżimem warszawskim a Wolnymi Polakami całego świata. O ile dla reżimu odzyskanie ziem zachodnich równa się rezygnacji ze wschodnich, o tyle dla nas odzyskanie tych ostatnich nigdy nie przestanie być celem dążeń i walk. I nie tylko dla nas tutaj. Nie inaczej w kraju. Dowodzi tego wynik referendum, dowodzą liczne głosy prasy krajowej. Przed niewielu dniami „Polska Zbrojna" (nr. 282) w reportażu z Ziem Odzyskanych powiada: „Może najliczniej reprezentowaną tu grupę stanowią repatrianci z za Bugu. Stanowią oni element najbardziej podatny na liczne wiatry, wiejące po obszarach życia powojennego. Są jak niesłychanie czułe aparaty, nastawione na wojenne przeciągi, które wieją na salach obrad międzynarodowych i które za kulisami wielkiego teatru wydarzeń światowych zmieniają się w prawdziwe orkany plotek, domysłow i fantastycznych projektów". Łatwo odszyfrować treść, kryjącą się tu między wierszami: katastrofizm polski, parcy do Lwowa.

Ale — w przeciwieństwie do podobnych zjawisk w Niemczech — rachunek na wojnę nie musi być podstawą polityki polskiej, nie rezygnującej z ziem wschodnich. Trzeba sobie jasno powiedzieć: broniąc dziś linii Odry i Nysy, bronimy owoców tej wyjątkowej od tysiąca lat i może niepowtarzalnej szansy, jaką nam dała ostatnia, totalna klęska Niemiec. Polskie słupy graniczne, wbite w dno Odry i Nysy, to więcej, niż spełnione sny polskich mocarstwowców, więcej, niż ośmieliły się żądać najśmielsze memoriały polskie w Wersalu. Oczyszczenie tych ziem z Niemców i zaludnienie ich Polakami — to wypadek, który za dalszych tysiąc lat nie straci nic na swym przełomowym charakterze. Dotarcie Polski do Odry i Nysy jest wykonaniem najcięższego zadania, jakie mogła sobie postawić polska idea państwowa.

A ziemie wschodnie? Wschód nanosił nieprzerwanie na Polskę burze, często klęski, ale Wschód nie był nigdy tym, czym mur niemiecki na zachodzie. Wschód był miękki. Tą miękkością Wschodu tłumaczy krytyka historyczna wschodni kierunek polityki polskiej od Kazimierza Wielkiego i obwinia ją, że szła po linii mniejszego oporu. Wschód zawsze obfitował w niespodzianki. Wschód przypływał i odpływał, dźwigał się i rozpadał.

Dlatego sprawa odrobienia strat na wschodzie jest rzeczą niepomiernie łatwiejszą niż to, co odrobiliśmy na zachodzie. Nastąpi w wyniku jednej z tych rozlicznych koniunktur, w które obfitują dzieje Wschodu, a których nie było na naszym Zachodzie ani po roku 1918, ani po wojnie trzydziestoletniej. Warunkiem jednak tej rewindykacji jest, byśmy w momencie najbliższej wschodniej koniunktury stali mocno na Odrze.

A. N.

Sowiety organizują prawosławie

Londyński „News Review" omawia sowieckie plany religijne.

„Prawosławny arcybiskup Grzegorz z Leningradu przybył w zeszłym tygodniu do Jerozolimy. Jego podróż, przedsięwzięta w porozumieniu z patriarchą Sergiuszem z Moskwy, głową kościoła prawosławnego w Sowietach, pasuje bardzo do wielkiego planu rosyjskiego — zjednoczenia prawosławnych całego świata pod zwierzchnictwem Moskwy."

„Gdy nowoobrany patriarcha Maximos był intronizowany w Konstantynopolu ostatniej Wielkanocy, sowiecki konsul generalny reprezentował ambasadora sowieckiego — jest to formalne zademonstrowanie pretensji Rosji do roli protektorki kościoła prawosławnego na całym świecie. Jest rzeczą zasadniczą dla planu rosyjskiego, który zmierza do zwołania w Sowietach w ciągu półtora roku światowego soboru prawosławnego, zapewnienie sobie poparcia gmin prawosławnych w Palestynie. Ich ośrodkiem jest klasztor w Ogrodzie Getsemani. Gdy patriarcha moskiewski Aleksiej wizytował ten ośrodek w r. 1945, był świadomie ignorowany przez miejscowy kler. W zeszłym tygodniu arcybiskup Leningradu był przyjęty ciepło i brał udział w wielkich uroczystościach w Bazylice Grobu Świętego."

„Za planem rosyjskim kryje się sowiecki zamiar zjednoczenia kościołów chrześcijańskich przeciw Watykanowi."

Leon Blum

Kryzys polityczny francuski, trwający już dwa z górą lata i wywołany pozorną równowagą trzypartyjnego systemu, dochodzi do swego najwyższego punktu. Jako ostatnią nadzieję wysunięto na premiera 74-letniego Leona Bluma, przewódcę francuskich socjalistów, a to dzięki autorytetowi, którym się w swym kraju cieszy.

Historia życia tego człowieka jest bardzo bogata. Syn fabrykanta jedwabiu, i wynalazcy składanego cylindra t. zw. „szapoklaka", chciał się poświęcić pracy naukowej, potem skończył prawo, w końcu uprawiał krytykę teatralną i literacką. Pod wpływem socjalisty Jaures'a walczy w obronie Dreyfusa i pomaga w zakładaniu „L'Humanité", dzisiaj organu francuskich komunistów. Równocześnie pisze studia krytyczne i książki na tematy obyczajowe. W r. 1919 staje na czele francuskiej partii socjalistycznej. Pomimo że kandyduje z okręgów gdzie kwitnie uprawa wina, nigdy nie bierze do ust kropli alkoholu, i pozostał do dziś abstynentem.

Licząc lat 64 staje w r. 1936 na czele rządu „Frontu Ludowego" i przeżywa szereg ciężkich kryzysów: strajk po strajku, trudności finansowe państwa i okres wojny domowej w Hiszpanii. Do ustąpienia zmusił go „strajk kapitałów" — kryzys finansowy, wywołany celowo przez opozycję.

Po wejściu Niemców został aresztowany i osadzony w więzieniach w Bourrasol i Pourtalet a w końcu w obozie koncentracyjnym w Buchenwald, skąd go uwolnili Amerykanie. W czasie więzienia napisał on orędzie skierowane „do wszystkich, którzy chcą budować przyszłość", w którym powiada, że „nie może istnieć nic, co jest zbudowane na przemocy i żyje przemocą, co człowieka poniża i co się opiera na pogardzie wolnej osobowości". Wogóle w czasie wojny Blum przeszedł głęboką ewolucję i zdecydowanie odsunął się od czysto materialistycznego poglądu na świat.

Dziś Blum jest naczelnym redaktorem „Populaire'a", był specjalnym wysłannikiem rządu francuskiego dla uzyskania pożyczki od Stanów Zjednoczonych a ostatnio przewodniczył w Paryżu pełnemu zgromadzeniu UNESCO, organizacji Narodów Zjednoczonych dla spraw nauki i kultury.

Blum ostro ocenił kryzys w swej partii przed wojną i stwierdził, że „zawiodła ona zupełnie w czasie kryzysu hitlerowskiego, że mieszczaństwo francuskie wpadło w łatwiznę, opanowane marnym wyrachowaniem na chwilowe zyski i straty". Obecnie wierzy jednak w odrodzenie socjalizmu francuskiego, który jego zdaniem uniknie niebezpieczeństw, jakie grożą innym mającym głos partiom.

Okazja nadeszła, a więc zobaczymy...

Blum jest człowiekiem bardzo bogatym, to też popularnie nazywa się go we Francji „socjalistą, który nie ma nic do zyskania."

Najpopularniejsi ludzie

Dziennik angielski „News Chronicle" przynosi wyniki przeprowadzonej w wielu krajach przez naukowy instytut statystyczny Gallupa ankiety na temat, kto jest największym człowiekiem.

„Pytanie postawione starannie dobranym wszechstronnym przedstawicielom Brytyjczyków brzmiało: „Kogo najbardziej podziwiasz ze wszystkich ludzi żyjących?" Odpowiedzi w procentach były: Winston Churchill 24, Montgomery 5, Attlee 4, Bernard Shaw 4, Bevin 3, Smuts 3, Stalin 3. Nikt inny nie otrzymał ponad dwa procent. 18 procent nie dokonało wogóle wyboru."

„Przy podobnej ankiecie w Kanadzie Winston Churchill znowu wybitnie górował z 23 procentami, za nim szedł premier kanadyjski Mackenzie King z 8 procentami. W Stanach Zjednoczonych Churchill był piąty na liście, po Mac Arthurze, Eisenhowerze, Trumanie i p. Eleanor Roosevelt. Publiczność francuska wybrała de Gaulle tą samą przygniatającą większością, co publiczność brytyjska Churchilla. Za nim szedł Stalin, Joliot i Winston Churchill."

Brytyjczycy emigrują

W. Brytanii grozi w tej chwili największa w jej historii emigracja własnych obywateli. Jak dotychczas podało się na wyjazd do:

Australii	146	tysięcy
Kanady	150	„
Afryki Płd.	50	„
N. Zelandii	50	„
Innych krajów Imperium	45	„
Stanów Zjednoczonych	40	„
Innych krajów świata	30	„
Razem	511	tysięcy

Do tej sumy trzeba dodać 52 tysiące Angielek, które wyszły za mąż za żołnierzy amerykańskich i wraz z dziećmi czekają na wyjazd do mężów, oraz 60 tysięcy żon żołnierzy kanadyjskich. Razem z tymi, którzy już wyjechali, otrzymamy cyfrę ponad 600 tysięcy Anglików, którzy mają opuścić rodzinną Wyspę, czyli 1¼% jej ludności.

Większość kandydatów na wyjazd — to młodzi ludzie w wieku od 20 do 35 lat, przeważnie dzieciatych, którzy pragną, by ich dzieciom było lepiej i wierzą, że osiągną to za morzami. Narazie muszą czekać, gdyż są wielkie trudności transportowe, zresztą, imigranci anglosascy mają wszędzie pierwszeństwo.

W świetle tych cyfr można zrozumieć, że Wyspiarze są zaniepokojeni równoczesnym „najazdem" sprzymierzonych na opuszczane przez swoich placówki.

Z kraju i ze świata

— W Izbie Gmin rzecznik rządu brytyjskiego, oświadczył na interpelację, że rząd ten jest zaniepokojony aresztowaniami w Polsce, mającymi z góry przesądzić wynik wyborów. Wyborów, które nie byłyby wolne, rząd brytyjski nie uzna.

— Cenzura w Polsce nie zezwoliła na wyświetlanie 19 zakontraktowanych filmów brytyjskich. Równocześnie odebrano debit 17 czasopismom polskim, wydawanym za granicą.

— Ilość osób, zamkniętych w obozach koncentracyjnych w Polsce, ocenia się na 30.000.

— W Beogradzie odbył się pod patronatem rosyjskim „kongres wszechsłowiański".

— 10. marca 1947 r. rozpocznie się w Moskwie konferencja w sprawie traktatu pokojowego z Niemcami i Austrią.

— Martin Borman, były następca Hitlera, ma znajdować się Południowej Ameryce, dokąd uciekł przy pomocy szwedzkich hitlerowców.

— Premierem Francji został 74-letni przywódca socjalistów Blum.

— Największy niemiecki statek pasażerski „Europa" (56.000 ton), wydany Francji na poczet odszkodowań, zatonął podczas burzy w porcie Le Havre.

— Rząd brytyjski wysłał do Albanii ultimatum, domagające się przeproszenia i odszkodowania za ostrzelanie okrętów brytyjskich koło wyspy Korfu.

— W Padwie po przejechaniu Włocha przez samochód brytyjski wybuchły antybrytyjskie demonstracje, przy których spalono 50 samochodów i poturbowano wielu żołnierzy brytyjskich.

— Członkowie Organizacji Narodów Zjednoczonych otrzymali zlecenie wycofania swych przedstawicieli dyplomatycznych z Hiszpanii.

— W Stanach Zjednoczonych strajk górników przerwano do 31. marca 1947.

— Wojska perskie zajęły stolicę Aserbejdżanu Tabryz. Miejscowi przywódcy komunistyczni uciekli do Rosji. W Teheranie odbyły się demonstracje przeciw komunistom perskim. Stanowisko Moskwy wobec tych wydarzeń nie jest jeszcze wyjaśnione.

Znak zapytania

(O.) W ciągu ostatnich tygodni świat ma nad czym się zastanawiać: Towarzysz Stalin znikł od pewnego czasu z widowni politycznej, a towarzysz Mołotow odmienił oblicze sowieckiej polityki zagranicznej.

O ile pierwsze stwierdzenie jest ścisłe, o tyle w drugim mieści się spora doza przesady. Jak słusznie zauważył znany dziennikarz amerykański Walter Lippman, ustępstwo sowieckie w sprawie kontroli zbrojeń, polegające na przyjęciu amerykańskiego projektu kontroli zbrojeń wraz z wyłączeniem prawa veta przy wykonywaniu tej kontroli, nie jest bynajmniej realnym sukcesem polityki pokojowej. Żadne państwo, a szczególnie totalistyczna Rosja Sowiecka nie dopuści ekspertów międzynarodowych do swych tajemnic wojskowych i żadna komisja międzynarodowa, choćby najsprawniejsza i najbardziej energiczna, nie potrafi sama dotrzeć do tajników mocarstwa zazdrośnie strzegącego przed innymi swych planów zbrojeniowych i produkcji wojennej. Nawet pokonane Niemcy po pierwszej wojnie światowej, pilnowane przez alianckie organa kontrolne urzędujące na terytorium niemieckim, potrafiły pod przesłoną sportowych organizacji i pseudo-pokojowego przemysłu odbudowywać swą siłę militarną. A cóż dopiero państwo zwycięskie, w najwyższym stopniu nieufne wobec cudzoziemców, strzegące nawet każdego kroku cudzoziemskich korespondentów prasowych.

Przeto nikt realnie patrzący na wydarzenia nie będzie wpadał w przesadny optymizm w związku z ustępstwami tow. Mołotowa.

Tym nie mniej jednak sama choćby zmiana metody działania, i to zmiana dość radykalna — zmusza do refleksji. Tym bardziej, jeśli ustępstwa papierowe towarzyszą łagodnym reakcjom w dziedzinie faktów politycznych. Zwróćmy, dla przykładu, uwagę na to, co się dzieje w Persji. Czyż przed kilkoma miesiącami możliwe byłoby, aby rząd teherański wysłał swe wojska do protegowanego przez Sowiety Aserbejdżanu i nie spotkał się ani z gwałtownym oporem protegowanych ani z kontrakcją możnego protektora. To wydarzenie jest znacznie bardziej wymowne niż dyplomatyczne sielanki w łonie Narodów Zjednoczonych.

To też, aczkolwiek za wcześnie byłoby mówić o zmianie oblicza sowieckiej polityki zagranicznej, z pewnością można zarejestrować, jak na razie, pewne złagodzenie jej kursu.

Publicyści zjawisko to łączą z uporczywymi pogłoskami o wewnętrznych trudnościach Sowietów, a szczególnie z zagadkowym zniknięciem Stalina. Prasa całego świata pełna jest rozważań na temat choroby wielkiego tyrana, dociekań o komplikacjach ustrojowych oraz o ich wpływie na międzynarodową pozycję Rosji. Snuje się przewidywania co do osoby następcy Stalina, wymienia się nazwiska. Najczęściej w artykułach o tej sprawie wyczuwa się dużo nadziei, nadziei niewypowiedzianej, a przecież wyraźnej: Rosja osłabia się. Rosja stoi na progu niepokojów — Rosja staje się mniej groźna.

Zapewne — jeśli prawdą okaże się, że Stalin odda ster władzy — kolos sowiecki narażony będzie na wstrząsy. Tak olbrzymia władza, a jednocześnie tak wielki autorytet skupione w ręku jednej osoby, osoby zresztą niezwykle silnej i bezwzględnej, nie da się bez wstrząsów przenieść w inne dłonie. Ale rozległość tych wstrząsów jest nie do przewidzenia i dlatego budowanie na nich zbyt dużych nadziei byłoby nieroztropne i przedwczesne.

Żaden z systemów totalistycznych zbudowanych w polu widzenia naszego pokolenia nie przechodził próby tego rodzaju. Ani Niemcy ani Włochy nie zmieniały swych wodzów. Nie zmieniał wodza również najstarszy totalizm — sowiecki. Wprawdzie byliśmy świadkami gładkiego podejmowania spuścizny przez Stalina po Leninie. Ale wówczas ustrój sowiecki dopiero zaczynał się kształtować. Był rewolucyjną lawą, która nie zdążyła zastygnąć. Wielki autorytet ideologa i przywódcy rewolucji nie stał się jeszcze wierzchołkiem ogromnej i skomplikowanej maszyny państwowej. Dziś sytuacja wygląda inaczej. Z drugiej strony nie zapominamy jednak, że naród rosyjski przywykł w swej historii do gwałtownej zmiany tyranów oraz że potęga komunistycznego molocha jest czymś znacznie bardziej żywiołowym niż dyktatury wyłącznie oparte na autorytecie jednego człowieka.

Znak zapytania nie jest równoznaczny z wykrzyknikiem ulgi.

Polskie walki dywersyjne we Francji

Ogólnie działalność P.O.W.N. — Polskiej Organizacji Walki o Niepodległość we Francji jest dość znana, Jednak nikt jeszcze nie pisał o najważniejszych działaniach, o charakterze czysto wojskowym, wykonanych przez POWN, ale zorganizowanych w ramach tej organizacji przez wojsko, w ramach międzyaljanckich „Special Forces“, czyli jednostek o bardzo specjalnych celach zadaniach i taktyce.

P.O.W.N., zorganizowana samorzutnie, jako naturalna reakcja francuskiej Polonii przeciw okupacji niemieckiej, przerosła liczbą ludzi przyciąganych do organizacji — swoje możliwości działania. Kierownictwo P.O.W.N. uznało więc, że dla pełnego wykorzystania możliwości wszelkiego rodzaju sabotażu, należy uzyskać odpowiedni plan działania, dowódców i specjalistów. Zwrócono się więc do Londynu o ich dostarczenie — na wniosek szefa wojskowego POWN. płk. Daniela.

Z końcem 1943 i początkiem 1944 r. wojskowi przybyli z Anglii drogą konspiracyjną, zaczęli tworzyć spośród członków POWN. specjalne komórki. Byli oni przeszkoleni w S.T.S. — Special Training Schools — we wszystkich rodzajach działań podziemnych, operowali najnowszemi metodami konspiracji i walki. Mogli oni zorganizować zespoły bojowe o dużej wartości, szkoląc dzięki swej wiedzy i poświęceniu setki patriotów. Działalność tych zespołów byłaby trzonem poważnej akcji, nie tylko zaś doraźną improwizacją na małą skalę, i na niewielkim odcinku.

Działalność wojskowa dzieliła się na trzy zasadnicze działy, pod dowództwem wspomnianego już płk. Daniela. Głównym terenem działalności wojskowej była północ Francji, zagłębie węglowe, gęsto zamieszkałe przez Polaków. Był to teren operacyjny polskiej sekcji „Special Forces“, które dzieliły cały kraj na podobne rejony. Operacje wojskowe na tym terenie nosiły w planie Aljanckiego dowództwa kryptonim „Buzzard“.

OPERACJA „BUZZARD“.

Była to operacja czysto wojskowa, przygotowana do akcji na bezpośrednich tyłach nieprzyjaciela w chwili, gdy taktyczne plany sprzymierzonych wymagałyby jej podjęcia. Wykonać ją miało 16 grup operacyjnych złożonych z oddziałów spadochroniarskich, które przybywały z Anglii i tyluż zespołów pomocniczych, przygotowanych w terenie. Te połączone grupy miały za zadanie przecinanie linii komunikacyjnych wojsk nieprzyjacielskich. Po dokonaniu zasadniczych zadań pozostałyby one w terenie jako lotne grupy partyzanckie na tyłach niemieckich. Całość operacji podlegała dowództwu wojskowemu miejscowych okręgów operacyjnych, w ścisłej łączności z Londynem. Przygotowano sieć punktów łączności, łączników, schronów i magazynów żywnościowych, zaopatrzonych w konserwowaną żywność. Niezależnie od tej organizacji istniały „Komitety przyjęcia“, t. j. zespoły, których zadaniem było przyjmowac zrzuty spadochroniarzy i sprzętu na wyznaczonych punktach lądowania.

Ze względu na tajność organizacji i konieczność zachowania nienaruszonych przygotowań w razie wpadki ludzi lub zespołu, organizacja była zdecentralizowana i nie podlegała władzom terenowym P.O.W.N.; zależna była jedynie od oficera operacyjnego i jego zastępcy. Było to koniecznym warunkiem powodzenia akcji.

ORGANIZACJA W TERENIE.

Teren operacyjny Grupy Północ pod dowództwem mjr. Eugène obejmował zagłębie węglowe północnej Francji. Zawarty był on zgrubsza pomiędzy Lille, Valanciennes, Arras, Bethune. Podzielony był na dwa okręgi, zwane kryptonimami „Emma“ i „Jolanta“ i podokręg „Urszula“, zależny od dowódcy „Jolanty“. Dowódcami byli: „Emmy“ por. Krogulec, jego zastępca ppor. Lampart, radiooperatorem utrzymującym stałą łączność z Londynem — plut. Alamant; w „Jolancie“ ppor. Smuga z instruktorem plut. Orłem i radiooperatorem Selimem; w „Urszuli“ sierż. Wilk. Wojskowi dowódcy okręgów czyli oficerowie operacyjni nazywani byli w „szefami sztabu“ dla odróżnienia od kierownictwa cywilnego P.O.W.N.

WYWIAD

Drugim zadaniem była sieć wywiadu, podlegająca bezpośrednio por. „Tygrysowi“ i jego zastępcy chor. „Waldemarowi“. Grupy wywiadu otrzymywały wszelką pomoc od oficerów operacyjnych, praca ich jednak była zupełnie niezależna. Nie podlegały one nikomu w terenie, miały własną sieć łączności. Dowódca wywiadu, łącznie z dowódcą całości grupy operacyjnej miał niezależny aparat radio z operatorem plut. „Owidjuszem“.

SZKOLENIE.

Trzecim nakoniec zadaniem wojskowym było przeorganizowanie i przeszkolenie członków P.O.W.N., dla wyzyskania jaknajpełniejszego ich działań sabotażowych. Dzięki doskonałemu przygotowaniu i ofiarnej pracy wszystkich oficerów i podoficerów, przeszkolono i przygotowano do działania parę tysięcy ludzi. Praca tych kilkunastu wojskowych była rzeczywiście ogromna. Poza swymi zadaniami operacyjnymi, szyfrowaniem depesz, — przy ciągle grożącym niebezpieczeństwie, — ludzie ci pracowali po kilkanaście godzin na dobę, by tylko osiągnąć wymagane rezultaty. Tej pracy należy zawdzięczać rozwój P.O.W.N., i konsolidację tej Organizacji jako potężnego narzędzia w rozgrywce alianckiej na terenie Francji.

PLAN DZIAŁANIA.

Ze względu na masowość organizacji, nie można było przeprowadzać stałych akcji. Konieczne to było również ze względu na zachowanie nienaruszonych przygotowań do operacji „Buzzard“, która stanowiła jeden z elementów taktycznego planu dowództwa wojsk sprzymierzonych. Każda wpadka czy aresztowanie mogło naprowadzić Niemców na wyraźniejsze ślady przygotowań.

Zdecydowano więc zgrać akcję P.O.W.N. z operacją wojskową „Buzzard“, t. zn. rzucić do akcji wszystkie siły P.O.W.N. na rozkaz działania dla Grupy wojskowej. Plan działania skierowany był na spowodowanie jaknajwiększego zamieszania na tyłach nieprzyjacielskiego frontu w chwili walk już na Kontynencie. W ten sposób można była wesprzeć zrzucone zespoły spadochroniarskie, których obecność w terenie nie byłaby długo tajemnicą dla Niemców. Jednocześnie zaś represje za te działania ominęłyby naogół ludność cywilną, gdyż po wykonaniu akcji, powróciliby wszyscy spokojnie do domu, pozostawiając na polu jedynie grupy bojowe. Te zaś wzięłyby na siebie ciężar walki, odwracając podejrzenia od cywilów. Wojsku bardzo zależało na ochronie ludności polskiej w zagłębiu węglowym. Wiedziano bowiem, że po uwolnieniu tych terenów dadzą one ogromną ilość ochotników do Polskich Sił Zbrojnych, które bardzo potrzebowały uzupełnień, biorąc coraz większy udział na wszystkich frontach.

Należy nadmienić, że utrzymanie tego planu było bardzo trudnym zadaniem zarówno dla kierownictwa P.O.W.N., jak i dla dowództwa wojskowego. Ludzie palili się do działania i wyzyskania swego wyszkolenia i organizacji, która dawała im poczucie siły. Akcje oderwane jednak nie mogły przynieść spodziewanego pożytku. Natomiast sama sporadyczność i wybuchowość takich działań zawierała w sobie groźbę że gorączkowe poszukiwania Niemców osiągnęłyby nakoniec poważniejsze rezultaty, co mogło się skończyć choćby częściowym sparaliżowaniem przygotowywanej z trudem i mozołem akcji wojskowej, nietylko zakrojonej na szeroką skalę ale i posiadającej wartość już w innej skali, skali militarnej.

SABOTAŻ BOMB LATAJĄCYCH

W lipcu 1944 r. przyszedł z Londynu rozkaz natychmiastowego zorganizowania i przeprowadzenia akcji sabotażowej przeciwko wyrzutniom bomb latających V 1, mieszczącym się prawie wyłącznie w departamencie Somme i Pas de Calais. Jako główne zadanie wyznaczono przecinanie linji telefonicznych i telegraficznych. Wartość niszczącą bombardowań Londynu wzmagała się, gdy były one wyrzucane salwami, jednocześnie. Rozkazy do tych salw przychodziły zawsze telefonicznie z dowództwa niemieckiego w Amiens. Każda z poszczególnych wyrzutni otrzymywała dane regulujące długość lotu poszczególnych bomb i rozkaz wystrzału — nigdy nie wolno było im działać na własną rękę. Dlatego wprowadzenie zamieszania i przerywanie komunikacji telefonicznej unieruchamiało odciętą wyrzutnię, zmniejszając ciężar bombardowania Londynu. Pozatym przerywanie prądu w liniach wysokiego napięcia pozbawiało wyrzutnie koniecznej do odpalenia energii. Wreszcie — zdołano nawiązać kontakt z robotnikami Polakami, przymusowo zatrudnionymi na wyrzutniach i skłonić ich do unieszkodliwiania samych bomb. Sabotaż i uszkadzanie tych dość precyzyjnych przyrządów nie było zbyt trudne ze względu na ich prostą konstrukcję.

Teren na którym znajdowały się wyrzutnie, leżał poza zasięgiem operacji „Buzzard“ i organizacji P.O.W.N. W okolicach tych było paru Polaków, pracujących na fermach, którzy udzielili tej akcji poparcia lub brali w niej udział. Do akcji tej odkomenderowany został ppor. „Smuga“, który dobrał sobie najlepszych ludzi. Zastępcą jego był sierż. „Maczuga“, dowódcami poszczególnych grup sabotażowych — kpt. „Kruk“, kapr. „Bolek“ i chor. „Zet“.

Sukces tych działań sabotażowych przypisać należy przede wszystkim doskonałemu doborowi ludzi do tej akcji. Poza przecinaniem naziemnych kabli najważniejszym ich osiągnięciem było przerwanie trzech podziemnych kabli międzymiastowych, gorączkowo zastępowanych i naprawianych przez Niemców.

ROZKAZ „BUZZARD“

W dniu 1 września 1944 r. otrzymano wreszcie rozkaz operacyjny. Był on nadany kodem przez audycję francuską B.B.C. w jednym z tych zabawnych, zdawałoby się bez sensu, zdań. W terenie ogłoszono pogotowie bojowe. Grupy sabotażowe powróciły forsownymi marszami po 50 km z rejonu bomb latających, by dołączyć do bojowych grup operacyjnych. Wszyscy byli na czas na wyznaczonych stanowiskach. Dowództwo, organizacja i ludzie nie zawiedli. Tymczasem z frontu przełamanego na rzece Somme we Francji, Niemcy wycofywali się błyskawicznie aż na granicę holenderską. O godzinie 8-ej wieczorem nadeszło z Londynu odwołanie rozkazu. W Anglii wyładowano z samolotów gotowe do odlotu zespoły spadochronowe. W terenie dowództwo grupy wydało natychmiast rozkaz przeprowadzenia akcji improwizowanych na terenach swoich zespołów. Weszły one do bezpośredniej akcji bojowej, odnosząc niejednokrotnie duże sukcesy.

Przygotowania parumiesięczne nie obyły się bez ofiar. Zastrzelony został przez Gestapo kpt. „Tygrys“ gdy otoczony usiłował się wymknąć, kilkunastu ludzi aresztowano, część z nich zginęła w obozach koncentracyjnych. Należy podkreślić że żaden z nich nie wydał nic z konspiracyjnych tajemnic. Oni sami zaś wpadli tylko dzięki aresztowaniom wśród szefów cywilnych P.O.W.N. w Paryżu, którzy nie wytrzymali śledztwa. Szczęściem przeorganizowanie i przygotowanie na taką ewentualność przez specjalistów, pozwoliło uniknąć dalszych strat. Wzięty został przez Niemców radiooperator „Selim“, wykryty przy nadawaniu szyfrowanych depesz. Broniąc się, otrzymał 14 postrzałów. Aresztowany został również „Owidiusz“. W akcji bojowej straciło życie kilku ludzi, m. in. wspomniany sierż. „Maczuga“, w walce z cofającymi się Niemcami.

Działalność grupy wojskowej nie skończyła się z uwolnieniem terenów przez wojska aljanckie. Grupa sabotażowa pod dowództwem jednego z księży zajęła jeszcze w czasie pobytu Niemców konsulat R. P. w Lille, dokąd po ich odnalezieniu przybyli potem szefowie cywilni P.O.W.N. Na terenie zagłębia węglowego pozostali wojskowi, broniąc życia i mienia Polonii w powstałym chaosie, organizując normalne życie i działania emigracji. W krótkim zaś czasie stworzono Stacje Zborne, przeprowadzające zaciąg do Polskich Sił Zbrojnych na obczyźnie.

Działalność wojskowa w P.O.W.N. kierowana była przez spadochroniarzy z Anglii, potajemnie zrzuconych we Francji, oraz paru wojskowych z terenu. Członkowie P.O.W.N. wzorowo wykonali wyznaczone im zadania. Olbrzymi zapas dobrej woli i poświęcenia, niezłomny patriotyzm i przywiązanie tych ludzi do kraju, szczególnie zaś młodzieży, która Polski nigdy nie widziała, godne są oddzielnego i obszerniejszego opracowania.

Jan Kurzawa.

Nowe Książki polskie

Sowiecki eksperyment w Polsce

Nakładem „Swiatpolu“ ukazała się niewielka rozmiarami, bo zaledwie sto stron licząca, ale niezwykle bogata w treść broszura S. Z. Tomczaka pt. „Sowieckie Eksperymenty Gospodarcze na Ziemiach Polskich“. Książka ta nie należy do tzw. literatury propagandowej, jest rozprawką ekonomiczną, mocno udokumentowaną i ugruntowaną. Składają się na nią rozdziały: „Tendencje i metody przekształceń gospodarstwa polskiego“, „Gospodarstwo agrarne w dzisiejszej Polsce“, „Gospodarstwo przemysłowe w Polsce“, „Pieniądz i kredyt“, „Upadek produkcji rolniczej“, „Byt ludności“, „Stosunki gospodarcze z zagranicą“.

W słowie wstępnym autor stwierdza, że „W realizacji swoich celów Rosja przestrzega giętkości taktyki ... pomimo wielu zboczeń taktycznych, Rosja trzyma się swego głównego traktu. Otóż w sprawach polskich Rosja ma również swój główny trakt, lecz, ze względów taktycznych, chadza czasem bocznymi drogami ... Jeśli Rosja powzięła decyzję podjęcia konfliktu ze światem cywilizacji zachodniej lub liczy się z prawdopodobieństwem tego rodzaju konfliktu, to nie ma ona czasu na gruntowną sowietyzację życia Polski. Gospodarstwo polskie musi narazie jej służyć w obecnych postaciach niedokończonej jego sowietyzacji względnie rusyfikacji. Musi ono służyć w obecnych postaciach co najmniej do chwili rozstrzygnięcia konfliktu...“

Poezja Oflagu

W r. 1943 w jedynych w swoim rodzaju warunkach wyszedł zbiorek wierszy Z. Mystkowskiego „Godziny Czekania“. Został on wydany w obozie jeńców w r. 1943 z ręcznie rzeźbionych klocków drewnianych, przyczym rzeźbione są nietylko wiersze tekstu ale i artystyczne winiety oraz drzeworyty. Na każdej stronie mieści się jeden krótki, zaledwie czterowierszowy poemacik. Z szatą graficzną wiąże się nietylko forma wierszy ale i ich treść i nastrój. Są to krótkie ale bogate w nastrój westchnienia poetyckie oddające melancholię i monotonię życia jenieckiego oraz nutę trawiącej tęsknoty i poczucia bezsilności. Bibliofilskie wydanie jenieckie i jego powtórzenie z drugiego Oflagu, w którym był autor, zostały wyczerpane. Obecnie wyszło nowe wydanie, będące wierną kopią oryginału dokonaną metodą fotochemigraficzną w Bramsche.

Jest to książeczka nietylko oryginalna i estetyczna ale zarazem pełna melancholijnego uroku.

Podróż do Niemiec

Instytut Literacki w Rzymie wydał książeczkę Pawła Hostowca „Dziennik Podróży do Austrii i Niemiec“. Jest to zbiór wrażeń autora z odbytej zeszłej zimy wyprawy do Niemiec. Rzecz pisana bardzo żywo i inteligentnie porusza szereg najistotniejszych problemów. P. Hostowiec był w Austrii i w okupacji amerykańskiej, do brytyjskiej nie dotarł.

Druga część „Młodych Chłopów“

Polska YMCA we Włoszech wydała drugą część skrótu Józefa Chałasińskiego „Młode Pokolenie Chłopów“. Pierwszą część tego wydawnictwa omawialiśmy bardzo obszernie na łamach „Defilady“. Część druga zawiera pamiętniki dotyczące zagadnień: społeczne czynniki kształtowania się koła młodzieży, potrzeby wychowawcze młodzieży a patronat polityczny, rola w społeczno-kulturalnej strukturze koła, ideał wsi wzorowej, oświata w społeczności wiejskiej, szkoła a warstwa chłopska, szkoła i rodzina, pastuch i uczeń, dążenie do wyjścia ze wsi, marnowanie się dorobku szkolnego, nauczyciel jako organizator pozaszkolnego życia młodzieży, niedoszły inteligent, samokształcenie, problem inteligencji chłopskiej, aby chłopi mieli własną szkołę, chłopi jako warstwa społeczna.

Książka jest sporej objętości, bo zawiera 276 stron.

9/10 ludzi żyje na 1/100 części globu

Powierzchnia Ziemi wynosi ponad 510 milionów kilometrów kwadratowych. Morza pokrywają 374 milj. km. kw., a lądy 136 milj. km. kw., a więc zaledwie 1/4 całej powierzchni globu.

PUSTYNIE BIAŁE.

Cały jeden kontynent jest zupełnie niezamieszkały. Na 8 milj. km. kw. Antarktydy, pokrytej wiecznym śniegiem i lodem, nie ma ani jednego człowieka. Na półkuli północnej duże obszary są podobnie niezamieszkałe. Na 9 milj. km. kw. Syberii Północnej żyje niespełna 500 tys. ludzi. Ani jednej istoty ludzkiej nie ma na Ziemi Franciszka Józefa, a na Spitzbergu przy kopalniach węgla żyje 2 tys. Rosjan. Islandia liczy 112 tys. mieszkańców, lecz skoncentrowali się oni w 334 skupiskach, a poza tym 2/3 żyje na kilku dziesiątkach km. kw. wkoło stolicy Reykjawik. Na ogromnej wyspie Grenlandii kilku Duńczyków i 7—8 tys. Eskimosów gnieździ się wzdłuż południowych brzegów. Ziemia Baffina i Wyspa Księcia Alberta nie mają pomieszczeń ludzkich. Na olbrzymich przestrzeniach Północnej Kanady (ponad 6 milj. km. kw.) żyje 20 tys. ludzi. W USA stany Nevada, Utah, Arizona, Nowy Meksyk, Idaho, Montana i Wyoming mają ludność nieliczną, skupioną w kilku miastach, a dziesiątki tysięcy km. kw. są niezamieszkałe.

PUSTYNIE ŻÓŁTE I ZIELONE.

W Ameryce Południowej wielkie przestrzenie Andów, lasy Amazonki, wyżyna Matto Grosso i południowa Patagonia nie mają ani jednego skupiska ludzkiego.

Połowa kontynentu australijskiego jest pustynią. Afryka z Saharą, Pustynią Nubijską, lasem kongolezyjskim i z Pustynią Kalahari jest w 3/4 zupełnie niezamieszkała. Podobna sytuacja w Azji z obszarami pustynnymi Arabii, Iranu, Patrząc na ziemię z lotu ptaka, widzi się, że

GÓRALI JEST NIEWIELU.

Patrząc na Ziemię z lotu ptaka, widzi się, że strefy gęstego zaludnienia leżą właściwie nad brzegami mórz i w nisko położonych dolinach. Wysokość przeciętna lądu wynosi 800 m., lecz 9/10 ludzi mieszka na obszarach leżących poniżej 200 m. nad poziom morza. W miarę wznoszenia się lądu, siedziby ludzkie stają się coraz rzadsze. Jednakże istnieją duże miasta i na dużych wysokościach. Np. Kabul (stolica Afganistanu), miasto liczące 160 tys. mieszkanców leży na wysokości 1.900 m. nad poziom morza, Bogota w Kolumbii, miasto o 450 tys. mieszkańców, na 2.640 m., Addis-Abeba na 2.400 m., a La Paz w Boliwii na 3.700 m. Lecz miasta te nie leżą w centrum dużych obszarów zamieszkałych.

CZŁOWIEK LUBI WODĘ.

Nad brzegami Lemanu, na pasie nadbrzeżnym szerokości 2 km. gęstość zaludnienia osiąda 900 mieszkańców na km. kw. Rejony nadbrzeżne Dalekiego Wschodu są przeludnione. Rzeka Jang-Tse oklejona jest osadami ludzkimi, a wody jej pokrywa mrowie łodzi — domków.

W Norwegii 95 % ludności mieszka na pasie do 5 km. od brzegu. W Stanach Zjednoczonych od Bostonu do Waszyngtonu rozłożyło się 20 miast ponad 100-tysięcznych, sześć z nich jest wśród dziesięciu największych miast federacji.

CZY ZIEMIA JEST PRZELUDNIONA?

Z przytoczonych danych nie należy wyciągać pochopnych wniosków. Tak np. obszary gęsto zaludnione mogą wyżywić jeszcze więcej ludzi, podczas gdy niektóre przestrzenie pustynne są już nieodwołalnie przeludnione. Gdyby zebrać wszystkich ludzi w jedno miejsce i ustawić ich po 4 na 1 m. kw., tłum ten zająłby aż... 550 km. kw. Dotychczas taką gęstość zaludnienia osiągnięto jedynie w dzielnicy N. Yorku — Wall Street, lecz pustoszeje ona na całą noc, a jej mieszkańcy mają swe domy niekiedy w odległości 100 km. Gdyby jakiś potężny czarodziej potrafił ułożyć ludzi jak sardynki, zmieściłby tę całą masę w puszce-sześcianie o boku 1 km

Boże Narodzenie w świetle historii

Akademia Francuska przyznała wielką nagrodę literacką za rok ubiegły znanemu pisarzowi Danielowi Rops za jego dzieło „Historia Święta". Składają się nań dwie książki: „Naród Biblijny" i „Jezus na tle swoich czasów". Jest to praca ściśle historyczna choć ujęta w piękną formę literacką. Poniżej podajemy szereg fragmentów tej książki dotyczących Bożego Narodzenia. Nasze tłumaczenie jest pierwszym przekładem tej pracy, która w literaturze światowej zajmie trwałe miejsce na język polski. Wydaje nam się, że poniższe ustępy będą miłym upominkiem gwiazdkowym dla naszych czytelników.

Narodziny Boga

Tysiąc wspomnień powstaje w naszej świadomości gdy przywołujemy okoliczności, jakimi otacza Ewangelia ziemskie początki Jezusa. Skromna para rodziców chroniących się w swej wędrówce w grocie, gdzie trzyma się trzodę; młoda matka która sama powija i układa swego małego; Bóg-Dziecko spoczywający na słomie żłobu, ogrzewany oddechem osła i wołu — któryż człowiek zachodni nie przechowuje i dziś tych obrazów w najtajniejszej sferze pamięci, gdzie trwa, naprzekór wszystkim atakom sceptycyzmu, królestwo czułości i zachwycenia? Wszyscy marzyliśmy o tej przejrzystej nocy, gdy, chwaląc Boga, chór aniołów obiecał ludziom pokój i miłosierdzie z góry. Pasterze, królowie-magowie, stanowią część najbardziej bliskich nam wspomnień i najmniejszy ze świątków Prowansji budzi w naszym sercu uczucia dziecinne.

Niema święta religijnego tak popularnego jak Boże Narodzenie. Ono jedno ma to rzadkie szczęście, że godzi we wspólnej radości zarówno tych, którym przypomina o narodzeniu Boga, jak i tych, dla których nie oznacza nic. Nawet najbardziej niewierzący obchodzi je winem i ciastem. Ta ogólna cześć jest faktem historycznym, a biesiadnicy wigilijni dają świadectwo na swój sposób.

Sztuka namnożyła arcydzieł na ten temat. Niema motywu któryby więcej dał natchnienia niż owa młoda kobieta, przedstawiająca Jezusa światu, ponieważ jest Bogiem, a jednocześnie otaczająca go ramionami, ponieważ jest jej dzieckiem i broniąca go całą swą ludzką miłością. Włosi, Flamandowie, Niemcy, Hiszpanie — każda szkoła malarska ma swe „Hołdy Trzech Króli", swoje „Ucieczki do Egiptu". To odradzanie się niezmiennych tematów jest cudowne. Od mistrza des Moulins do Luiniego z Luwru dekoracją żłóbka staje się coraz to inny krajobraz. Prostota starych artystów ignorujących cechy miejscowe i rzekomą erudycję, przyzwyczaiła nas do umieszczania tych scen w tle, które jest dla nas codzienne, przyczyniając się przez to do tego, że weszły one w krew i szpik naszej duszy. Niekiedy twór jest tak potężny, że narzuca umysłowi tło, jakie twórca sobie wybrał: trudno naprzykład wyobrazić sobie ucieczkę do Egiptu na tle okrutnej prawdy o jednej z najstraszniejszych pustyń świata, odkąd Fra Angelico namalował ją na tle Toskanii w krajobrazie delikatnej ochry i światła między prostymi cyprysami.

A przecież dokumenty, na których opiera się nasza znajomość tych faktów, ograniczają się do mało czego. Ani św. Marek i św. Jan w swoich ewangeliach ani św. Paweł w swoich listach nic o nich nie mówią. Tylko św. Mateusz i św. Łukasz poświęcają im parę rozdziałów, a i to raczej w formie wstępu czy przedmowy do dzieła. Ani jeden ani drugi przytym nie podają w ten sam sposób zasadniczych epizodów. Przyjmuje się dzisiaj, że te części dwu ewangelii nie pochodzą z pierwotnej nauki katechizacji, że zostały dorzucone przez obu autorów na zasadzie wiadomości własnych i jakby z tytułu osobistego.

Czemu? O. Lagrange zauważył, że odkąd władcy wschodni byli ubóstwiani i uznawani za zbawców, uważano za potrzebne nadawać ich urodzinom charakter cudowności dla stwierdzenia ich boskości. W r. 238 przed Chr. urodziny Ptolomeusza były traktowane jako data szczególnie uroczysta, jako zapowiedź czasów radości dla ludzi. W Azji Mniejszej obchodzono w I wieku przed Chr. święte urodziny Antiochusa z Kommageny. W roku 9 przed naszą erą jeden z prokonsulów Azji proponował, by rok cywilny rozpoczynać od urodzin „boskiego cezara" Augusta, tak dalece jasne jest, że rozpoczął on erę wydarzeń niezwykłych i odrodzenia ludzkości. Podejmując trud walki o tytuł Zbawiciela dla dziecka tak niskiego stanu, tak wzgardzonego, że ledwie stajnia dale schron jego urodzeniu, czy ewangeliści nie kierowali się wyraźnym planem, a mianowicie zadania ciosu fałszywym sławom tego świata? Pierwsi chrześcijanie mogli zmierzać prosto do sprawy zasadniczej to jest do posłannictwa Chrystusa, jak ono jest wyłożone w głównej treści Ewangelii, ale, w miarę jak wzrastała cześć dokoła Jezusa i zarazem wydarzenia z dzieciństwa Jego coraz bardziej interesowały, bez niezadowolenia przeciwstawiono je, również nadzwyczajne i godne podziwu, legendom pseudo-zbawców, ubóstwionych mocarzy wschodu.

W każdym razie wszystkie rękopisy i najstarsze wersje św. Mateusza i św. Łukasza posiadają te rozdziały w tym samym brzmieniu, jakie mają do dziś. Od II i III wieku cytują je Ojcowie Kościoła, jak Justyn czy Ireneusz, a także i heretycy jak Kerinthos i Karpokrates oraz Celsius poganin antychrześcijański. Są pisane w tym samym języku co i reszta ewangelii, tworzą z nią całość jednorodną.

TAJEMNICA JEZUSA

Żył więc człowiek w czasie najdoskonalej określonym, za panowania Augusta i Tyberiusza, jego istnienie jest faktem niezaprzeczalnym. Znano go jako żyjącego z pracy własnych rąk, cieślę z rylcem za uchem, posuwającego heblem i robiącego młotem. Widziano go jak chodził po drodze, którą jeszcze dziś można wskazać, jak jadł chleb, oliwę, czasami rybę, przysmak swego ludu, a wieczorem, leżał wyciągnięty na macie trzcinowej, lub w sznurowym hamaku. Znajdowano go śpiącego, powalonego zmęczeniem, człowieka wśród ludzi, podobnego do każdego z nas.

A jednak mówił słowa najbardziej zdumiewające jakie można usłyszeć: że jest Mesjaszem, świadkiem Opatrzności, przez którego naród wybrany ma być podniesiony do chwały i wypełnić swe zadanie, i, co jeszcze bardziej zdumiewające, że jest synem Boga. I wierzono mu. Znaleźli się ludzie, którzy towarzyszyli mu po drogach Palestyny, gdzie wędrował bez przerwy. Cudy wychodziły z jego rąk ze zdumiewającą łatwością. Bardzo wielu spodziewało się od niego politycznego wyzwolenia Izraela. Ale czyż każdy obłąkaniec nie ma swoich fanatyków? Wreszcie, doprowadzając do szczytu zgorszenie umysłu, człowiek ten załamał się od jednego ciosu nie próbując nawet się przeciwstawić. I oto, zamiast zniechęcić się takim niepowodzeniem, ludzie z jego bandy rozeszli się na cały świat by dać jego boskości świadectwo podpisane krwią. I odtąd ludzkość, czyniąc z tej klęski dowód zwycięstwa, składa najniższy hołd ówczesnej szubienicy, coś, jakby jutro jakiś kościół przedstawił tłumom do czczenia okropność szafotu.

CO WIEDZIELI WSPÓŁCZEŚNI

Jeżeli życie Chrystusa stawia wciąż przed każdym studiującym je zagadkę natury boskiej przetwarzającej charakter ludzki, wolno niemniej rozważać je tak jak życie każdej innej postaci historycznej, ponieważ sam fakt tego życia jest pierwszym świadectwem Objawienia. Powstaje wówczas zagadnienie, które napotyka historyk u progu każdego badania: skąd znamy Jezusa? Wyolbrzymiono przesadnie trudności, które dla naszej dokumentacji przedstawiają różne źródła i nawet wielu chrześcian, zwiedzionych zapewnieniami krytyki rzekomo „wolnej", nie zdaje sobie dostatecznie sprawy z solidności podstaw na jakich opiera się ich wiara.

Tło, na którym żył Jezus, jest wybitnie historyczne. Teksty nie umieszczają go w czasach legendarnych, na tle mglistej przeszłości jak to robią tradycje dotyczące Orfeusza, Ozyrysa czy Mitry. Cesarstwo Rzymskie z I wieku jest nam znane z niezwykłą dokładnością. Wielcy pisarze, których dzieła posiadamy, jak Liwiusz czy Seneka tworzyli za życia Jezusa. Wirgiliusz, gdyby nie umarł w wieku 51 lat, mógłby widzieć Dzieciątko. Inni, jak Plutarch albo Tacyt, należą do pokolenia bezpośrednio następnego.

Co więcej: znaczna ilość postaci wprowadzonych na scenę opisów dotyczących Jezusa jest naświetlona przez inne dokumenty historyczne, jak choćby ci, których cytuje św. Łukasz w trzecim rozdziale swej ewangelii: Tyberiusz, Cezar, Poncjusz Piłat, Herod Filip, arcykapłani Annasz i Kaifasz oraz Jan Chrzciciel, o którego apostolstwie i śmierci donosi Flawiusz Józef. I to jeszcze nie wszystko: Obyczaje i zwyczaje, całość zachowania się, która tak dobrze umieszcza w czasie życie ludzkie, są zupełnie podobne do tych, jakie możemy obserwować studiując współczesnych Palestyńczyków.

Oto więc człowiek, którego działalność odbywa się w środowisku politycznym i społecznym doskonale znanym. Czy możliwe by wszystkie dotyczące go tradycje były ściśle co do tła, gdyby miały być mityczne? Trzebaby na to przypuścić, że ewangeliści i apostołowie byli wszyscy specjalistami od powieściopisarstwa historycznego i że wychodząc z różnych dokumentów zdołali odtworzyć postać, zachowującą poprzez wszystkie ich dzieła doskonałą jedność.

Jednakowoż tu pokazuje się pewna luka. Czy wielcy współcześni Jezusa mówili o nim? Nie. Nie ma w tym nic dziwnego, jeśli umieścić we właściwej perspektywie wydarzenie, które nam wydaje się niezmierne przez następstwa jakie miało. Trudno nam pogodzić się z tym że życie, nauka i śmierć Chrystusa nie miały takiego rozgłosu by posady świata zostały natychmiast wstrząśnięte. W rzeczywistości, dla obywatela rzymskiego żyjącego w czasach Tyberiusza, ta historia nie miała większego znaczenia niżby dla nas miało pojawienie się jakiegoś mało znanego proroka na Madagaskarze czy na wyspie Reunion.

Najważniejszy jest tekst Tacyta, tego najbardziej solidnego spośród historyków łacińskich, u którego wrażliwość i wyobraźnia, choć żywe, nie stanowią przeszkody dla woli krytycznej, rzadkiej w jego czasach, i dla wielkiej rzetelności w poszukiwaniu dokumentów. Tacyt, piszący swe „Roczniki" koło roku 116, wspomina o chrześcijanach w związku z pożarem Rzymu w r. 64: „Potępiające pogłoski przypisywały Neronowi rozkaz podpalenia. By z tym skończyć, wymyślił winnych i poddał najbardziej wymyślnym torturom owych ludzi znienawidzonych za swe postępki których lud nazywa chrześcijanami. Nazwa ta pochodzi od Chrystusa, który za panowania Tyberiusza został skazany na umęczenie przez prokuratora Poncjusza Pilatusa. Ta zgubna sekta, z początku zakazana, rozpowszechniła się nanowo nietylko w Judei, gdzie miała swe źródło, ale i w samym Mieście..."

Opowiada on następnie o straszliwych torturach zadawanych chrześcijanom i bardzo po ludzku oburza się na to, ale cały ustęp wskazuje, że znał chrześcijan tylko ze słyszenia i podzielał co do nich opinię popularną. Ta właśnie, wrogość czyni tym cenniejszą ścisłość dwóch linijek, w których mówi o Chrystusie. Skąd czerpał swą dokumentację dotyczącą Jezusa? Wśród źródeł Tacyt posługuje się często „Historiami" Pliniusza Starszego, przyrodnika i filozofa, tego samego, który zginął wskutek tego, że chciał ze zbyt bliska obserwować w r. 79 wybuch Wezuwiusza, jaki zalał Pompeję. Pliniusz Starszy należał do sztabu Tytusa podczas wojny żydowskiej w r. 70. Za jego więc i dalej Tacyta pośrednictwem tradycja miejscowa dotarła aż do nas.

Droga do Beth-Leem

Mniej więcej na trzydzieści lat przedtym zanim Chrzciciel ukazał się nad Jordanem, odbywał się w Palestynie spis ludności. Żydzi nie lubili tych formalności statystycznych, gdzie człowiek, ta rzeczywistość jedyna, liczy się na setki i tysiące niby pogłowie bydlęce. Nawet sam Mojżesz miał w tej sprawie trudności z nakłonieniem szczepów. Rzym jednak wymagał w swych prowincjach zapisu do rejestru urzędowego nazwiska, zawodu i majątku wszystkich mieszkańców: ułatwiało to ustalenie stopy podatkowej i mobilizację sił na wypadek wojny. Ten obowiązek najprawdopodobniej narzucił Rzym i małemu królestwu żydowskiemu żyjącemu w jego cieniu, a może Herod, zawsze gorliwy w okazywaniu swego zapału wobec protektora, sam podjął się go rozciągnąć na swój kraj.

W Palestynie spis ludności pociągał za sobą jedną komplikację: nie zapisywało się w miejscu swego pobytu ale w miejscu pochodzenia rodziny, do której się należało. Tradycje rodzinne były zawsze silne w Izraelu a stały się jeszcze silniejsze, odkąd Ezdras, zrobił tyle dla utrzymania czystości rasy hebrajskiej i zakazania małżeństw z cudzoziemcami. I dziś najskromniejszy człowiek wschodu szczyci się znajomością swoich przodków; w Nowym Jorku spotyka się Maronitów, emigrantów od trzech czy czterech pokoleń, którzy potrafią nazwać swoją wieś libańską a i Arab nie zapomina o siedzibie klanu swych przodków, jak Mahomet pamiętał o swych naddziadach, Ben Quoraich, „ludziach z Qorah". Takie spisy w miejscu pochodzenia nie były wyjątkowe: w r. 103 po Chr. Gaius Vibius Maximus wielkorządca egipski, nakazuje tym wszystkim, którzy nie przebywają w okolicy rodzinnej, powrócić tam niezwłocznie celem zarejestrowania się; w Londynie można czytać papierus z tym rozkazem. Takie wędrówki tam i napowrót wzdłuż dróg wydawały się z pewnością mniej nieznośne ludziom bliskim jeszcze pewnego ideału koczowniczego głęboko tkwiącego w ich pamięci, jakimi byli Hebrajczycy niż osiadłemu ludowi egipskiemu.

Tak więc „Po ogłoszeniu edyktu Cezara Augusta o spisie ludności, każdy ruszył zapisać się w miejscu swego pochodzenia. Józef opuścił Nazareth w Galilei i podążył do Judei do miasta dawidowego zwanego Bethleem, gdyż był z potomstwa dawidowego. A Maria, jego małżonka, towarzyszyła mu; była ona w ciąży" (Łukasz II, 1, 5).

Kimż była ta para, którą ukazuje nam ewangelista wędrującą po drogach by wypełnić rozkaz cezara? Małżeństwo złączone świętymi węzłami małżeńskimi (Jezus podczas swego procesu stanie przed Sanhedrynem, który to przywilej był zastrzeżony dla ludzi pochodzenia niewątpliwie prawego) i węzłami uczucia: nie było przecież konieczne dla młodej kobiety w tym stanie odbycie wysiłku takiej podróży skoro tylko mężczyźni byli powołani do spisu, lecz widać małżonkowie chcieli wspólnie odbyć tę pańszczyznę. Byli to ludzie biedni, mężczyzna i kobieta z ludu pracującego, bogatsi w odwagę niż w drachmy, z tych biedaków, których władza znajduje zawsze posłusznymi i zrezygnowanymi. Gdy ich dziecko się urodzi, by wywiązać się z obowiązkowej ofiary w świątyni, będą musieli zadowolić się parą synogarlic: kupno jagnięcia przekraczało ich środki.

On był robotnikiem, cieślą, jak przypuszczają zestawiając dwa wersety św. Łukasza (IV, 22) i św. Mateusza (XIII, 55), w każdym razie jednym z tych rzemieślników-rolników, którzy tworzyli główną masę mieszkańców Palestyny i których pobożność, karność i zamiłowanie do pracy pozwoliły społeczeństwu żydowskiemu po powrocie z Babilonu zapuścić na nowo korzenie na ziemi przodków. Na imię ma Józef, bardzo stare imię izraelskie, jakie nosił sławny syn Jakuba, którego egipskie losy zapisane są w Piśmie. Ewangelia otacza jego postać cieniem, pokorą i milczeniem. Można się jej raczej domyślić niż ją widzieć: postać człowieka dojrzałego już, którego doświadczenie życia nauczyło mądrości i umiarkowania.

Jego małżonka jest z pewnością dużo młodsza, gdyż było zwyczajem wydawać zamąż córki ledwie dojrzałe podczas gdy mężczyźni czekali aż do 25 roku, czasem dłużej: mała czternastoletnia żydówka ma już wszelkie pozory dojrzałej kobiety; na imię jej Maria, imię równie rozpowszechnione w Palestynie owych czasów jak dziś w naszych parafiach, pochodzące być może z czasów wygnania w Egipcie (nosiła je siostra Mojżesza) i miało znaczenie „ukochana Jahwe", Miryah, lecz w tych czasach znaczyło już poprostu, w pisowni Miriam lub Mariam coś w rodzaju „dobra pani". W tej godzinie, kiedy odbywa drogę ku Betleem, cóż można w niej widzieć innego jak małą nijaką małżonkę, skromną, bogatą w wiarę i ukryte cnoty, poddaną mężowi i zewnętrznie podobną do tych młodych matek, które i dziś jeszcze spotyka się w Ziemi Świętej z dzieckiem u ramienia lub u biodra?

Dwoje prostaczków zaiste! Czyż możliwe żeby byli z królewskiego szczepu izraelskiego? Nie powinno to wydawać się dziwne. Potomstwo tych ludnych haremów, które utrzymywali Dawid i Salomon, było bardzo obfite. Nie całe pozostało na wysokich urzędach i bogatych dygnitarstwach. W czasach Machabeuszy istnienie licznych spadkobierców rodu dawidowego powstrzymało słynnych braci od przywdziania korony, a kiedy później cesarz Domicjan (81 do 96), powiadomiony o proroctwie, które obiecywało jednemu z potomków Dawida poddanie mu wszystkich potęg i tronów, kazał sprowadzić ostatnich przedstawicieli królewskiego rodu izraelskiego, biedni chłopi, jakich mu sprowadzono — dwaj wnukowie apostoła Judy — wydali mu się tak skromni i nieszkodliwi, że darował im życie i odesłał do ich lepianek.

Józef i Maria byli, jak się zdaje, oboje z potomstwa dawidowego. Co do Józefa dwóch ewangelistów stwierdza to wyraźnie: św. Mateusz na samym wstępie swego dzieła (I, 1, 17) i św. Łukasz gdy rozpoczyna opis działalności publicznej Jezusa (III, 23, 38). Sprawa ta miała dużą wagę ponieważ powszechnie uważano, że Mesjasz będzie ze szczepu wielkiego króla, „gałęź wyszła z pnia Jessego, potomek dojrzały jego korzeni" jak mówi Izajasz.

Odległość z Nazaretu do Betleem jest wielka: prawie 150 km a drogi były podłe, gdyż Rzym nie miał jeszcze czasu przebudować ich wedle swojej techniki. Na ośle, tym tradycyjnym środku lokomocji, który posiadali nawet najbiedniejsi, wymagało to pełnych czterech dni czasu. Przekroczywszy dolinę Ezdrelonu, gdzie brzmiała jeszcze wojenna sława prorokini Debory, szło się na południe od osady do osady, a każda wywoływała wspomnienie osobistości z długiej historii Izraela: Sulam, miejsce Elizeusza — człowieka cudów i owej Sulamitki, której „imię słodkie jak perfumy" chwali wiecznie Pieśń nad Pieśniami; Yzreel, miejsce bałwochwalczej królowej Jezabel; wkraczając do Gilboe poświęcało się wspomnienie Saulowi i Jonataszowi nieszczęśnikom tu poległym w walce. Następnie wkraczało się w Samarię, nie bez smutku, gdyż wówczas ziemia Garizim, tyle kroć błogosławiona, zawierająca grób Józefa i studnię Jakuba, była krajem schizmy i niewierności. I wreszcie Judea jałowa i ruda: Silo i Bethel starożytne miejsca święte patriarchów były już tylko imionami ale gdy u wyjścia jednego z wąwozów ukazywała się jaśniejąca bielą Jerozolima, podkreślająca zarys długiej ciemnoszarej ławy, na której stoi, wyostrzona wieżami i pałacami, każdemu synowi Izraela ściskało się serce z czułości i szukając wzrokiem świątyni, tej świątyni, którą właśnie kończył odbudowywać Herod, szeptał w akcie podzięki „schema" przodków.

Podróż to piękna, wzruszająca dla dusz pobożnych, ale ciężka droga dla młodej kobiety w ciąży wstrząsanej przez cztery czy pięć dni na grzbiecie osła. Na dwie godziny przed świętym miastem, pozdrowiwszy jeszcze po drodze grobowiec Racheli, przybywało się do Betleem.

Po tylu skałach i pustyniach, gdzie tylko rzadkie krzewy i kępki purpurowych anemonów i cyklamenów przypominają o życiu, pocieszający był widok tej małej, białej mieściny, położonej na blisko 800 metrach wysokości na zboczach dwóch bliźniaczych wzgórz. Daleko, pogarbiona jakby gotujący się ołów, który nagle zastygł, rozciąga się pustynia spływająca ku Morzu Martwemu. Dokoła osady ogrody, jasne pola, srebrzyste gaje oliwne. Beth-Leem, „dom chleba", zwane także Ephrata „bogate w owoce", zasługuje słusznie na te nazwy. Dziś jest to miasteczko o 9 tys. dusz z okrągłymi dachami zgęszczanymi jak jagody winnego grona, z uliczkami krętymi i ludnymi, podobne do tylu innych napotykanych na wschodzie, a którego jedyną cechą oryginalną jest to, że jest prawie całkowicie chrześcijańskie. Kobiety noszą tam ciekawe czepce pochodzące być może z czasów wypraw krzyżowych i chusty z białego jedwabiu. Choć w czasach Chrystusa było ono mniejsze niż dziś, nie było bez znaczenia i znało swoją pełną chwały starożytność.

Jemu to wszak zapowiedział prorok Micheasz wspaniałe przeznaczenie: „A ty Betleem żyzne, małe wśród tysięcy Judy, nie jesteś najmniejsze, gdyż z ciebie wyjdzie wódz, który poprowadzi mój lud izraelski, ten którego pochodzenie sięga czasów starożytnych, dni wieczności" (Micheasz V, 1). Czyż mogli zapomnieć to proroctwo Józef i Maria, pochodzący od Dawida, wiedzący jakiego cudu zakładem jest to dziecko, które Maria nosi w swym wnętrzu? Podtrzymywała ich wielka nadzieja a może nawet mówili sobie, że Cesar po to tylko podpisał swój dekret, zmobilizował swych urzędników i pisarzy aby spełniło się to, co od początku czasów miało nastąpić; plany bowiem Boga są nieznane ludziom i najpotężniejsi z nich są w Jego ręku tylko narzędziem.

Stajenka i Pasterze

NARODZENIE

U wejścia do zabudowań osady Betleem obszerny budynek, który św. Łukasz nazywa gospodą, mógł przyjmować podróżnych. Kto wie, czy nie był to ów „Chan w Chanaan", zbudowany przed dziesięciu wiekami przez Galaadytę, syna jednego z przyjaciół Dawida, dla jego trzód. Ten rodzaj karawanseraju, spotykany jeszcze wciąż w krajach Wschodu, nie daje żadnych wygód: prostokątna zagroda zamyka przestrzeń pod otwartym niebem, gdzie tłoczy się bydło; drewniane podcienia chronią, o tyle o ile, ludzi; bardzo nieliczne i malutkie izdebki wynajmowane są po cenie niebywale wygórowanej w stosunku do ich wartości. Ale nawet taka gospoda otwarta na cztery wiatry wydałaby się bardzo ponętna strudzonej parze, gdyby napływ podróżnych nie czynił jej niedostępną. Gospoda była pełna: do koczowników, którzy regularnie przybywali do Betleem sprzedawać swoje tkaniny i sery, jak to robią do dziś dnia, przybyli ci wszyscy, którzy udawali się do rejestracji. Można sobie wyobrazić ten tłum malowniczy, te stłoczone wozy, to szumiące i woniejące zbiegowisko; osły poryku ą, spętane wielbłądy szamocą się, kobiety kłócą się o kąt osłonięty od wiatru a nad tym wszystkim unosi się zapach gorącego tłuszczu, jaki wydzielają jednakowo wschodnie tłumy od Grecji po Egipt i od Algieru po Teheran. Zrozumiałe, że Józef odprowadził Marię zdala od tego zbiegowiska.

Tymbardziej, że czas naglił. „Ledwie przybyli na owo miejsce a czas, kiedy miała porodzić, wypełnił się." Bardzo stara tradycja mówi, że Józef umieścił swoją żonę w grocie, w jednej z tych grot, jakich wielką ilość widzi się jeszcze i dziś w Palestynie — wzgórza dokoła Betleem są ich pełne — a które służyły za stajnie dla trzód. Św. Justyn męczennik, który pisał w drugim wieku i doskonale znał te okolice, daje tu świadectwo jaknajściślejsze. Tam przynajmniej młoda kobieta znajdzie spokój i ciszę.

Krótki werset św. Łukasza (II, 7) zawiera wszystko, co wiemy o tym wydarzeniu zarazem tak prostym i cudownym. „Wydała na świat swego syna pierworodnego, zawinęła go w pieluszki i położyła w żłobie." Próżno byłoby snuć domysły nad tą wstrzemięźliwą wzmianką. Zdanie to robi wrażenie, że Maria była sama, że nie było tam żadnej innej kobiety by jej nieść pomoc: teologowie wyciągali stąd wiele wniosków o cudownych okolicznościach narodzenia i dziewictwie Marii „in partu". Co do żłóbka, to można jeszcze oglądać podobne żłoby w kształcie korytka, w które kładzie się owies dla bydła. Nauka skrajnej pokory wypływa z tego epizodu, odpowiadającego doskonale temu, co później będzie powiedziane o Tym, który był „łagodny i pokornego serca". Co do osła i wołu, które nasze obyczaje umieszczają po dwóch stronach żłóbka, pochodzą one z apokryficznej ewangelii o „Narodzeniu", której autor zapewne przypominał sobie dwa ustępy Pisma św. „Wół poznał pana swego a osioł żłób swego władcy" (Izajasz I, 3) i, wedle wersji Siedemdziesięciu „objawisz się między dwoma zwierzętami" (Habakuk III, 2; tekst hebrajski brzmi „w pośrodku lat"). Intencja, która łączy w postaci dwóch pokornych bydląt całe Stworzenie z narodzeniem Zbawiciela jest jednak tak wzruszająca, że liturgia przyjęła starożytną tradycję i w czasie Bożego Narodzenia mówi o „zwierzętach, które ujrzały Pana spoczywającego w stajence".

Wszelako wydarzenie, którego tło stanowiła nędzna grota, nie miało pozostać utajone. „Niedaleko znajdowali się pasterze, którzy spędzali noc na polu, strzegąc swoich stad". Czy byli to pastusi wiejscy, którzy na noc wpędzili swoje bydło do zagród i którzy czuwali na zmianę by ustrzec swoje dobro od dzikich zwierząt i złodziei? Taki zwyczaj nocnego dozorowania stad istnieje jeszcze w Palestynie i często słychać w ciszy i mroku rytmiczne nawoływania okrzykujących się wzajem strażników a czasami przytłumiony dźwięk fletu. Czy może prawdziwi koczownicy, którzy nigdy nie zamykają owiec, ograniczając się na noc do przywiązania im jednej łapy do ogona, ciężkiego ogona owczego ras wschodnich?

Skromnym strażnikom trzód niebo objawiło to, czego nie wiedział jeszcze świat: pojawienie się na ziemi Tego, który miał sam siebie nazwać Dobrym Pasterzem.

KIEDY URODZIŁ SIĘ JEZUS?

Czy można temu wydarzeniu wyznaczyć dokładne miejsce w czasie, datę w znaczeniu, w jakim używa tego słowa historia? Musimy tu wyznać niewiedzę: ta data tak ważna, skoro wedle obyczajów Zachodu wszystkie inne od niej zależą, jest jedną z najbardziej wątpliwych.

Jeśli narodzenie Jezusa służy dzisiaj za punkt wyścia naszej ery, to zawdzięczamy to pewnemu mnichowi scytyjskiemu, Dionizemu Małemu, Dyonisius Exiguus, który żył w Rzymie w VI wieku. Opierając się na słynnym tekście, gdzie święty Łukasz (III, 1, 2) ustala chwilę kazania Jana Chrzciela, Dionizy rozumował następująco: Jan począł nauczać w 15 roku panowania Tyberiusza, działalność publiczna Jezusa rozpoczęła się w rok później. Otóż święty Łukasz (III, 23), mówi że Jezus „podczas swego chrztu miał około 30 lat". Prosty rachunek polegający na odjęciu 30 lat od 15 roku panowania Tyberiusza dał mu rok 754 ery rzymskiej (754 rok od legendarnego założenia miasta): Tę cyfrę przyjęto. Znakomity mnich, nie mający żadnej możliwości ustalenia daty śmierci Heroda ani daty powszechnego spisu ludności, przyjął że dwa te wydarzenia poprzedzały rok 754 i na tym poprzestał.

Rzecz nie jest tak prostą. Przede wszystkim należy przyjąć najprawdopodobniej, że „rok 15" panowania Tyberiusza nie odnosi się do śmierci Augusta ale do dopuszczenia do tronu następcy. Po za tym określenie „około 30 lat" nie daje zbyt dokładnej wskazówki o wieku Chrystusa, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę że trzydziestka była wymagana przez obyczaj żydowski dla wejścia w życie publiczne i ewangelista mógł bardzo dobrze chcieć jedynie zaznaczyć, że Chrystus posiadał wiek prawny i nie był już młodzieniaszkiem. Jeśli przyjąć, że chrzest odbył się w styczniu 28, Jezus „mający lat około 30" musiał być urodzony przynajmniej dwa lub trzy lata przed rokiem pierwszym naszej ery.

Ale to nie wszystko. W Ewangelii rzeczywiście znajdujemy i inne dane chronologiczne. Jezus wedle św. Mateusza (II, 1) urodził się „za czasów króla Heroda" co potwierdza św. Łukasz w odniesieniu do Chrzciciela (I, 5) i do zwiastowania Marii (I, 26) a co i sam Mateusz powtarza innymi słowy z okazji przybycia Magów (II, 3) oraz ucieczki do Egiptu (II, 19, 22). Otóż wiemy od Józefa Flawiusza, że Herod umarł w roku czwartym przed naszą erą. Data ta jest nawet sprawdzona przez zaćmienie księżyca, o którym ten historyk żydowski mówi, że nastąpiło wkrótce po śmierci władcy, a które astronomia umieszcza na dzień 12 marca roku czwartego przed narodzeniem Chrystusa. Ponieważ wiadomo także, iż Herod ostatnie miesiące życia spędził u wód Kallirhoe a następnie w Jerycho a skoro Magowie zastali go w Jerozolimie, więc ich przybycie należy odnieść przynajmniej do roku 5 przed N. Chr. a zatym prawdopodobnie na rok 6-ty Narodzenie Jezusa.

Inna jeszcze dana chronologiczna znajduje się u św. Łukasza (II, 1, 2): dotyczy ona spisu ludności który zmusił Józefa i Marię do udania się do Betleem. Spis ten, umieszczony przez Ewangelię „za rządów Quiriniusa w Syrii" wywołał liczne spory. Historia zna doskonale owego Publiusa Sulpiciusa Quiriniusa, senatora, byłego konsula, byłego kombatanta afrykańskiego, który istotnie był legatem cesarskim w Syrii. On to właśnie, zobowiązany do dozorowania Tyberiusza przebywającego wówczas na mniej lub więcej dobrowolnym wygnaniu na Rodosie, tak dobrze porozumiał się z nim, że przyszły cesarz stał się jego przyjacielem. O nim także opowiada historyk rzymski skandaliczny proces rozwodowy z żoną jego Lepidą. Na nieszczęście żaden świecki autor nie wspomina o spisie powszechnym „całej ziemi". Nie ma w tym nic nadzwyczajnego gdyż Dion Cassius jedyny biograf, który napisał dokładny życiorys Augusta, dotarł do nas, w odniesieniu do tego okresu, jedynie w formie fragmentów, a Tacyt rozpoczyna swoje „Roczniki" od panowania Tyberiusza, Suetoniusz zaś i Józef nie są kompletni. Słynny napis Augusta w Ankarze wspomina o trzech spisach zarządzonych przez niego: jednym w roku 28-ym przed N. Chr. drugim w 8-ym przed N. Chr. i trzecim w 14-ym po N. Chr. Czy spisy te dotyczyły wszystkich mieszkańców Imperium czy tylko obywateli rzymskich, jest rzeczą dyskusji. Jeśli chodzi o drugi z tych spisów, należy jeszcze zastanowić się, czy Quirinius mógł go zarządzić w roku — 8. Wiemy o nim dwie rzeczy pewne: że był dwukrotnie legatem w Syrii (dowodzi tego napis w muzeum laterańskim) i że jeden z okresów jego urzędowania rozpoczął się w r. 6 po N. Chr. Nie wiemy, czy drugi przypadał wcześniej, czy np. można go umieścić w okresie między 4 przed N. Chr. a 1 po N. Chr., t. j. w okresie w którym znana nam lista legatów syryjskich posiada lukę. W każdym razie rok 4 przed Chr., to nie jest rok 8, trzebaby więc przypuścić inny spis ludności, zarządzony przez Quiriniusa dla jego terenu. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyż administracja rzymska lubiła ścisłość i papiery. Spis ten mógł być nazwany „pierwszym" przez Ewangelistę w odróżnieniu od następnego, jaki miał miejsce w dziesięć lat po śmierci Heroda i o którym mówią Akta Apostolskie i Józef Flawiusz. Nie daje to jednak pełnej zbieżności z datą, jaką można ustalić w związku ze śmiercią Heroda.

Można więc powiedzieć, że Jezus urodził się między rokiem — 8 a — 4, prawdopodobnie w — 6. Ta pewność ma zresztą dla Jego życia znaczenie minimalne, skoro przyjmie się, że słowa św. Łukasza „około trzydziestu lat" należy rozumieć w znaczeniu luźniejszym.

Jeśli chodzi o sam dzień narodzenia, który cała ziemia ustala dziś na 25 grudnia, to pochodzi on tylko z tradycji. W wieku III-im Klemens Aleksandryjski był za datą 19. IV.; proponowano także 29 maja i 28 marca; na Wschodzie przez długi czas obchodzono 6 stycznia; dopiero około r. 350 nasza obecna data ogólnie się przyjęła. Niektórzy przypuszczali, że mogło to mieć związek ze świętem boga Mitry, czyli „niezwyciężonego słońca", umieszczanym na czas zimowego przesilenia słonecznego wedle kalendarza rzymskiego. Znamy wiele wypadków gdy liturgia chrześcijańska wykorzystywała dla swoich celów stare święta pogańskie.

Tajemnice Gwiazd

RZEŹ NIEWINIĄTEK

Gdy chodziło o zagrodzenie drogi komukolwiek, kto wydawał się być zdolny do najmniejszego współzawodnictwa, Herod nie cofał się nigdy przed środkami stanowczymi. Ten Beduin krwi mieszanej miał do okrucieństwa zamiłowanie artysty. Własnoręcznie utopił swego szwagra, pełnego wdzięku Aristobula, małego arcykapłana mającego zaledwie 17 lat, zbyt zdaniem Heroda popularnego. Pokolei drugi jego szwagier Józef następnie Hyrkan II, 80-letni król, dalej Mariamma dumna Asmoneuszka, skądinąd ukochana jego żona, wreszcie zaś jego właśni synowie Arystobul i Aleksander — wszyscy zginęli z jego rozkazu. Jedną nogą w grobie jeszcze polował na inną ofiarę, swego trzeciego syna, Antipatra, któremu kazał ściąć głowę w przeddzień swej śmierci. Całe jego panowanie (od roku 40 do 4) odznaczało się potokami krwi. Masowe egzekucje nie były mu bardziej wstrętne niż indywidualne zabójstwo: gdy zrzucono złotego orła, którego tyran kazał umieścić na fasadzie Świątyni, co uchodziło za bluźnierstwo, kazał żywcem spalić w kształcie pochodni 40 młodzieńców a jeszcze w swej gorączkowej agonii nakazał masakrę wszystkich wybitniejszych osobistości społeczeństwa żydowskiego „aby przynajmniej ktoś płakał na jego grobie."

„Rzeź niewiniątek" nie wydaje się bynajmniej niezgodna z tym co wiemy o charakterze Heroda. Może nawet wydawała się ona mniej okropna ludziom starożytnym niż nam: Suetoniusz powtarza pogłoskę, wedle której Senat Rzymski krótko przed urodzeniem Augusta, będąc ostrzeżonym przez przepowiednie, że ma się narodzić dziecię, które będzie panowało nad Rzymem, zarządzić miał całkiem podobną masakrę. Liczba morderstw popełnionych na nowo[illegible] [illegible] nie wydaje się zbyt wielka. Miasteczko mogło wówczas liczyć około 2 tys. dusz. Jeśli przyjąć, że rocznie rodzi się około 30 dzieci na 1000 mieszkańców i pamiętając o podziale na dwie płci (tylko chłopców dotyczył rozkaz królewski) oraz o normalnej śmiertelności, można dojść do cyfry około 25. Kościół czci te małe ofiary, które życiem swoim zapłaciły za ocalenie Mesjasza i w liturgii im poświęconej ukazuje wdzięcznie bawiące się palmami i koronami męczeńskimi dzidziusie.

UCIECZKA DO EGIPTU

Od czasu zniszczenia Jerozolimy przez Nabuchodonozora, było bardzo wielu żydów w Egipcie a ich kolonia nie przestała wzrastać gdy Palestyna stała się prowincją helenistyczną. Było ich tam prawie milion. Zbudowali nawet w Leontopolis świątynię usiłującą współzawodniczyć ze sjońską. Większość jednak pozostała wierna i w ciągłych stosunkach z braćmi z Palestyny. W Aleksandrii stanowili dwie piąte ludności a ich uczeni, jak opowiadano, przetłumaczyli swoje księgi święte dla biblioteki faraona Ptolomeusza II, któreto tłumaczenie nazwano „przekładem Siedemdziesięciu". Było więc całkiem zrozumiałe, że zamierzając uciec Józef skierował się do tej gościnnej ziemi.

Małżeństwo ruszyło więc wraz z dzieckiem. Osioł niósł cały majątek i całą nadzieję tych biednych ludzi, osioł, dobre, niezmordowane bydlę, niezniechęcające się czterdziestokilometrowymi etapami. Posuwali się prawdopodobnie wzdłuż ścieżki karawanowej, trzymającej się jakna bliżej wybrzeża. Wnętrze bowiem kraju jest straszne: ocean piachu, gdzie nie zobaczysz najmniejszej roślinki; na wybrzeżu przeciwnie jest step, wprawdzie kamienisty ale pokryty nędznymi krzewami. Wojska, którym wypadło przebywać te niegościnne miejsca, miały tam zawsze wielkie trudności, jak Gabiniusa w r. 55 przed Chr., Tytusa w r. 70 po Chr., wreszcie lorda Allenby w 1918 — tym podczas jego natarcia na Palestynę.

Pobyt w Egipcie w każdym razie nie trwał długo, gdyż św. Mateusz mówi, że, ostrzeżony przez anioła o śmierci Heroda, Józef zabrał Marię i Jezusa do Palestyny, lecz dowiedziawszy się, iż na miejsce ojca wstąpił na tron Archelaus, nie ośmielił się osiąść w Judei i powrócił do Galilei. Mądre to postanowienie, gdyż Archelaus był prawie tak groźny jak jego poprzednik: swoje panowanie rozpoczął od zmasakrowania trzech tysięcy żydów. Herod umarł w marcu lub kwietniu w roku rzymskim 750 a Archelaus nastąpił bezpośrednio po nim. Egzekucja trzech tysięcy buntowników miała miejsce na samym początku jego panowania. Jezus, urodzony prawdopodobnie w 749 lub 748 ery rzymskiej, mógł mieć od ośmiu do ośmnastu miesięcy gdy jego rodzice powrócili do kraju rodzinnego.

GWIAZDA BETLEJEMSKA

Zagadnienie gwiazdy jest bardzo interesujące. Można naprzód postawić pytanie w jakiej mierze mieli Magowie tak nadzwyczajną znajomość gwiazd jak tego chce solidna tradycja. Nie trzeba zapominać, że obserwując niebo gołym okiem przy pomocy instrumentów prymitywnych, nie mieli tych podstaw, jakie daje wiedzy współczesnej najmniejszy teleskop. Stwierdziwszy to, jakie można wysnuć hipotezy? Naprzód przychodzi na myśl „nova", prawdziwa nowa gwiazda, jak ta, która ukazała się w konstelacji Orła w 1918 lub ta, którą zauważono w r. 1572 w okolicy św. Bartłomieja. Przeciw temu przemawia, że podobnego zjawiska nie notuje w tej epoce żaden godny zaufania autor. Czy mogła to być kometa? Gdy 10 stycznia 1910 kometa Halleya była widoczna w Jerozolimie, zauważono wyraźnie przejście jasności ze wschodu na zachód: na wschodzie była rozproszona a na zachodzie pokazała się bardzo widoczna, coby potwierdzało wskazówki Ewangelii. Jednak kometa Halleya przeszła przez niebo naszych krajów w r. 12 przed Chr. a nie w 6. Inne komety obserwowane przez Chińczyków w 4 i 3 roku przed Chr. zdaje się nie były zauważone na zachodzie. Pozatym komety, jak i inne gwiazdy podlegające ruchowi dziennemu, nie mogą wskazywać dokładnego kierunku a już najmniej jakiś dom w mieście. Kepler sądził, że to zjawisko astralne mogło oznaczać powiązanie planet Jowisza i Saturna w znaku zodiakalnym Ryb i, rzecz niezmiernie ciekawa, obliczył on, że to zjawisko powinno było wystąpić w r. 6 przed Chr., nie wiedząc zupełnie, że to jest właśnie najprawdopodobniejsza data narodzenia Jezusa. Ponadto wyrażenie „gwiazda" Pisma św. może być doskonale rozumiane po grecku nie jako gwiazda ale jako „zjawisko astronomiczne". Można więc także brać pod uwagę wspaniałe zjawisko zorzy zodiakalnej, silnego światła, jakie się dość często widzi na wschodzie w krajach o czystym niebie,ześrodkowane dokoła zachodzącego słońca i zawsze uderzające wyobraźnię. Wreszcie, na pograniczu nauki i legendy, Mereżkowski utrzymywał, że Pismo św. wzmiankuje o niezwykle rzadkim zjawisku niebieskim, precesji astronomicznej, przejściu punktu przesileniowego znaku zodiakalnego od Byka do Ryb, co miało oznaczać dla magów babilońskich, prześladowanych przez ideję nowego potopu oczekiwanego, zapowiedź końca świata czy nowego etapu ludzkości.

JULIUSZ SŁOWACKI

GDY NOC GŁĘBOKA...

Tysiące gwiazd nade mną na błękitach świeci,
Czasem ta, w którą oczy głęboko utopię,
Zerwie się i do Polski, jak anioł poleci;
Wtenczas we mnie ta wiara — co w litewskim chłopie,
Że modlitwa w niebiosach tak jak anioł kopie,
A czasem — ziarno ducha wrzuci i zanieci.

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER

ON

Olbrzymi czarny niedźwiedź, urodzony i uchowany w ciemnosmreczyńskim borze pod Hrubym Wierchem, w puszczy, gdzie słońce tylko po wierchowcach świerków świeciło, nie mogąc przebić dachu splątanych ze sobą konarów i gałęzi, pod którym przemykały się w pogoni za sarną i jeleniem hordy krwawych wilków, torowały sobie drogę potężnymi łbami odyńce, a po którego wiązaniach ślizgał się cichy, zgubny ryś o złotawej sierści, pewnego wiosennego dnia usłyszał głosy nigdy dotąd nie słyszany.

Zdumiony stanął i słuchał.

Były to miarowe ciosy, twarde i głuche, budzące suche echo po sobie. Posuwały się od doliny w górę. I niedługo zadziwionym oczom niedźwiedzia ukazali się ludzie z siekierami w rękach, odrębujący na lewo i prawo gałęzie odwiecznych smreków, przez co czynił się za nimi długi chodnik. Było ich kilku, przez plecy mieli łuki i strzały w plecionych z łyka kołczanach oraz sakwy z pożywieniem, u pasa proce i woreczki z kamykami. Gniewnym, strasznym okiem patrzał na nich niedźwiedź. Chciałby się był rzucić na nich, poszarpać ich i rozmieść po prostu na wiatr, a jednak jakaś trwoga zatrzymywała go w oddaleniu. A gdy poczęli posuwać się ku niemu bliżej, wydawał z piersi pomruk zły i groźny, ale cofnął się w gąszcz, zaszył w nim i siadł, podnosząc kufę do góry i wietrząc.

Już w parę dni potem, chodnikiem przez cały las przeciętym, na polanę, gdzie rosły wysokie szczawy gorskie, szerokie liście łopianu i mnóstwo kwiatów i ziół, tak że polanka mieniła się błękitnym, żółtym, czerwonym, fioletowym i zielonym kolorem, przypędzili ludzie stada owiec i wołów, a wielkich jak wilki i do wilków podobnych z wejrzenia siedem białych kudłatych psów w kolczastych obrożach, szło obok lub za nimi. Natychmiast z głazów poczęto klecić jatę, na głazach rozbijano żerdzie i pokrycie umoszczono z żerdek i odartych łup drzewnych, a na wierzchu poukładano ciężkie kamienie od wiatru.

Naokoło polany uczyniła się pustka. Pasające się tam dotychczas sarny i jelenie popierzchały, wilki podchodziły gęstwiną, nęcone widokiem owiec i wołów, ale bały się psów, zawsze czujnych juhasów, zbrojnych w daleko sięgające łuki i proce, i ostre ciupagi, i noże, a przede wszystkkim ognia błyskającego we dnie i w nocy z jaty, który nigdy nie gasnął. I dziwne szczeciniaste maciory, które tam żyły uprzednio, szukając bulw ziemnych, stadka swoich warchlaków pouwodziły daleko, i nawet mocne, odważne, a często zuchwałe i napastliwe odyńce nie zbliżały się ku polanie.

Wkrótce pogradzano dla owiec koszary ze strągami, obok pierwszej jaty wyrosło kilka innych, powstał szałas.

Z dala, z kosodrzewin, pozierał ku polanie niedźwiedź. Mieszkało ich w Ciemnych Smreczynach kilkanaście, tu się pasły, mnożyły i wychowywały, stąd czyniły wyprawy na owsy zielone w lecie i złociste w jesieni ku wsiom ponad Wagiem, tu przesypiały snem zimowym zimę, przechodząc czasem ku Wierchcichej popod Kopy, ku Rybiemu i w inne doliny, rojne od pobratymców. Panowały niepodzielnie i absolutnie w górach. Łoś o rosochatych łopatach, mieszkający poniżej, zmykał ciężko, gdy tylko na ślad ich łapy natrafił; potworne tury o czołach twardych, jak głaz, o sile powodzi, nie pasały się wysoko i toczyły walki tylko z dolinnymi niedźwiedziami po lasach. Stare, błyskające długimi kłami odyńce farkały i kłakały zębami, ale przysiadały na zadach pod wykrotem, gotowały się tylko do obrony, nie napadając same, a wilki gdy bandą szły, a były głodne, mogły być niebezpieczne tylko na nizinie, gdzie drzewa nie rosły. Zresztą wygłodzone i do szaleństwa zuchwałe bywały tylko w nizinie, kiedy niedźwiedź dobrze ukryty spał.

Nie było zatem rywala, i jedynie miłość wypełniała góry rykiem walczących samców, podobnych do burz walczących. W całych Ciemnych Smreczynach, a może w całych Tatrach, nie było groźniejszego niedźwiedzia. Barki miał jak kloce, łeb jak kępa, sierść czarną, lśniącą, a kiedy się wspiął na zadnie łapy, wyglądał jak drzewo. Najstraszniejszy był ze wszystkich.

On też pierwszy ubił wołu osiadłym na polanie juhasom. Ubił go w biały dzień, zabłąkanego daleko w kosodrzewinach, a uderzył tak potężnie, że wół od jednego zamachu w łeb, padł martwy z przetrąconym rdzeniem, nie zdążył nawet ryknąć, i zguby jego nawet nie dostrzeżono narazie. Dopiero zlatujące się na ścierwo orły, sępy, jastrzębie, sokoły i sowy rozliczne sprowadziły juhasów, którzy znaleźli już tylko kości.

Ośmielony napadł na innego wołu w stadzie. Stado pierzchło w przestrachu, nadbiegły jednak z ujadaniem psy, za nimi z krzykiem, z ciupagami w rękach wolarze. Niedźwiedź rozdarł najśmielszego psa, rzucił się głazem ku ludziom, ale uciekł.

Od tego czasu zaczęła się walka, bo i inne niedźwiedzie podchodziły pod woły lub napadały owce. Nocami zwłaszcza i psy i juhasi pilnować musieli, gdyż rysie skradały się gęstwiną, a wilki wyły dookoła, odpowiadając zaciekającym się od szczekania owczarkom.

W powietrzu z ptakiem drapieżnym, na ziemi z drapieżnym zwierzem rozpoczęła się walka na zabój. Ale juhasi poznali już, że największe szkody, najśmielsze napady wykonywa ten wielki niedźwiedź czarny — „on".

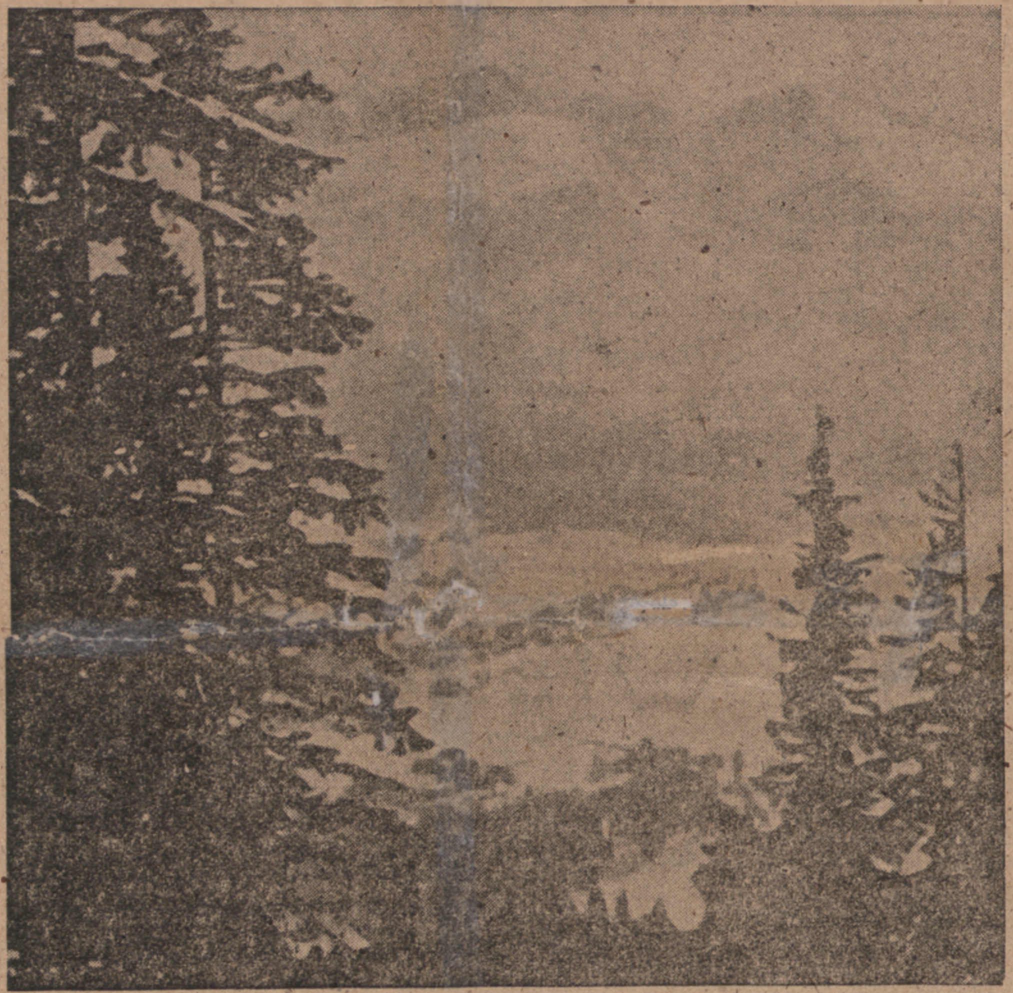
Jego zaś wściekłość brała na psy i ludzi. Nieraz szereg dni przeszedł, że nie dało się ani jednego wołu zwalić, ani jednej owcy porwać. Przypadł niespodziany, wczesny śnieg jesienny, tak gruby, że pokrył krzaki długich borówek i brusznic, obłamał i zasypał czerwone gałęzie skorusz, trawy pogrzebał — nastał głód. Większość juhasów z wołami i częścią owiec zeszła do wsi, obiecując sobie powrócić gdy śnieg staje; zostało tylko paru ze stadem owiec, które zamknięte w koszarze żywiono nanoszonym za lata sianem. Przy nim były tylko dwa psy.

W noc ciemną i mroźną, pełną wichru ze śniegiem, wypadł „on", jak burza z chmur, z pomroków leśnych, runął jak lawina, urwana w upłazie, na polanę i gnał jak potok z przewzbranego deszczem jeziora, ku koszarowi. Wybiegły naprzeciw niego psy, ale nie zważał na nie, a one też tylko z daleka ujadały. Jednym susem przesadził płot i gruchnął na zbite w kupie, rozpaczliwie beczące owce.

Prędzej niż pomyśleć można, bił i ciskał na kupę. Nie pił krwi, nie pochłaniał mięsa, tylko bił i bił, grzmotał łapami i ciskał poza siebie. Zapamiętał się w tej rzezi okropnej: mordował i mordował.

Usłyszeli hałas psów i bek owiec juhasi, ale nie mogli biec na ratunek. Pod mokrym śniegiem gasły z sykiem porwane z ogniska głownie, w ciemości zaś bali się zbliżyć, a ich krzyki nie odstraszały niedźwiedzia.

„On!... On!..." — powtarzali z rozpaczą, gdy „on" szalał w koszarze, jak szalony płomień w ciemnej stodole, pełnej słomy i suchego zboża..., gdy przez rozwalony płot owce wydarły się z koszara i warfogłowe ze strachu popędziły na oślep w sto stron, niedźwiedź począł pić z najcieplejszych krew, począł łykać wyszarpywane płaty mięsa z ciekącym od krwi runem. W końcu porwał jedną sztukę i w skokach przepadł w lesie.



Nazajutrz płacz i lament napełniły polanę. Nie dość, że wyżej trzydziestki owiec pobił „on"; mnóstwo pochwytały wilki, gdy się rozpierzchły, co po śladach poznać było można; mnóstwo zapodziało się, tak, że nawet odgadnąć nikt nie mógł, co im drogę zaszło. „On" zrujnował szałas do szczętu, i z płaczem, klątwami, złorzeczeniami i odgróżkami, z resztą żywych i zdrowych owiec, które się zagnać udało, uciekli juhasi do wsi, zamknąwszy pobite owce w jednej z jat, i obwarowawszy ją i zaparłwszy kołami i głazami, nimby przybyli liczniej po skóry i mięso. Ale „on" czuwał. Tejże samej nocy uderzył z towarzyszami na jatę, rozebrali głazy, rozmietli płoty, koły i żerdzie i wyprawili sobie ucztę, od której krwawych strzępów pełna była dolina. I gdy w trzy dni później, za ciepła powrócili wolarze i owczarze popod Hruby Wierch, zastali zdruzgotaną jatę i wszystko mięso pożarte..

— „On"...

— „On"...

Rozzuchwalone tym powodzeniem niedźwiedzie dzień i noc trapiły pasterzy, że wielu się zarzekało, powróciwszy w jesieni do domów, że tam już nie pójdą następnej wiosny, a straszna sława rozniosła się kręgiem koło Tatr.

„On" zaś triumfował.

W blasku księżyca, gdzieś w oboczach Gołych Wierchów, stawał do czarnego głazu podobny i patrzał z wysoka na puste doliny. I czuł się jeden potężny i niezrównany, jak halny wiatr, albo piorun, którym nic nie wyrówna. I w jesiennym, późnym słońcu przewalał się po aksamitnych, uzłoconych upłazach, po ogromnych błyszczących trawach, podobny do kłody smrekowej, sam jeden najpotężniejszy, jak głusza zimowej nocy, albo mróz ranny, który wszystko w lód ścina. I puste, milczące lasy znowu były jego niepodzielnym księstwem. Posępny, kolosalny, uginał barami konary, albo płynął wśród jesiennych, wybujałych traw, czerniąc się wśród nich grzbietem, jak ciężko ładowna łódź na ruchomej fali. Wędrówki jego napełniała słodka pamięć klęsk, które zadał, zwycięstwa i pogromu. Królestwo jego, od wieków przez przodków mu przeznaczone, znowu stało się wyłączną jego własnością. I uderzył, jak skała w szczytach urwana, na wściekłego tura, który się z nizinnych borów popod Krzywań przybłąkał. Ujrzał go tur zbiegającego w dół między wielkimi, starymi, rzadko rosnącymi smrekami, pochylił łeb o strasznym czole i rogach, zaryczał krótko, gardłowo, i rozstawił szeroko przednie nogi, zapierając się zadnimi w grunt. Tak stanął, do mostu, na który kra uderza, podobny. Atoli szybciej niż złamany wichrem smrek na kierz się wali, runął nań niedźwiedź i łapą w kark go uderzył. Buznęła krew. Potworny bek wyrwał się z gardzieli zwierza, i równie, jak dwie lawiny głazów z dwóch przeciwnych skał lecące zetrą się z sobą w kotlinie, kamienie spiętrzą się w mury, a huk wypełni przestwory, tak oni z rykiem zwarli się z sobą. Ale mocne, śmiertelne czoło tura ugodziło w pustkę; niedźwiedź uchylił się i powtórny raz zadał w kark wroga, wyrywając płat mięsa, który odwalił się od kadłuba, jak kęs drzewa piorunem z pnia oddarty. I cios za ciosem ponawiał straszliwy napastnik, unikając ciężkimi, ale szybkimi skokami rogów i czoła byka. Wreszcie ów, uchodząc śmierci, zawrócił, i cały czerwony od posoki, i olbrzymie jej bluzgi na mchy i gałęzie, o które się ocierał, rzucając, rozpaczliwym biegiem uciekać począł, z tętentem, jak gdyby młoty uderzały w ziemię. Ale stary milczący las nieruchomo patrzał a tę walkę.

Zaś niedźwiedź zapragnął słońca do boju. Przeszedł więc dolinę Niefcyrki ponad doliną Młyniczną przez grań od Hrubego Wierchu, i tam pod przełęczą, w niezmiernej wysokości, leżąc między progami skalnymi na rozpalonej trawie, grzał się w słońcu, spoglądając z swej dumnej saniotni na szeroki kraj ludzki tam nisko...

I nie było żadnego więcej zwierzęcia tam, na wysokości. Stadka kozic, gwiżdżąc na trwogę, pomknęły w szalonych rzutach w niedostępne, czarne krzesawice, ponad nim tylko niegroźne otchłanie, i niewielki jastrząb trzepotał skrzydłami w błękitnym powietrzu, czatując na siedmiobarwne, długodzióbe motyle skalne.

Nadeszła zima, a z nią zimowy sen. „On" spał pod wykrotem kędyś w Hlińskiej dolinie, ale ludzie radzili o „nim". Bo żal im było nie powracać na traworodną ciemnosmreczyńską polanę, a przy tym nurtowała ich serca chęć krwawej zemsty. I gdy wiosna nadeszła, kilkunastu ludzi, dobrze zbrojnych w łuki, noże i topory, z łopatami w ręku i z zębatymi żelazami, zaopatrzonymi w grube łańcuchy, ruszyło wyciętą percią w góry.

Ujrzał ich obudzony już niedźwiedź, i znowu chęć w nim zawrzała rzucić się na nich i roznieść ich po lesie, i znowu jakaś trwoga popchnęła go wstecz, w gęstwinę. A jednak czuł, że cienkiej skoruszyny łatwiej nie złamie, kiedy ją chyli, aby owce jej pożreć, niż zmiażdżyłby każdego z tych ludzi, i powstrzymał go niepojęty jakiś lęk. Ha! gdyby któryś z nich zbliżył się ku niemu, gdyby naparł na niego... Podarty w sztuki, okrwawiłby kosodrzewinę... Oko w oko spojrzeć człowiekowi, z bliska tuż, tuż, to była najnienawistniejsza chęć jego, najpełniejsza dyszącej krwią zajadłości. Ale natrzeć nie śmiał, czuć jakaś siłę obca, nieznaną, niepojętą w człowieku, mimo że był dla jego ramion jak giętkie gałęzie krzaków malinowych.

I przyszli znów na halę z wołami i z owcami juhasi. Przyszło ich więcej, przypędzili więcej wołów i owiec, i psów przeprowadzili dwunastu. I szli z hukaniem, śpiewem i muzyką, napełniając góry dźwiękiem gęśli, brzęczącym beczeniem kobzy, daleko biegnącym świstem piszczałek i rozległym wyciem długich trombit. Szli tak, jakby pragnąc odstraszyć zwierza i naprzód ogłosić w zajęcie posiadanie, zdobycie i utrwalenie swej władzy na ciemno-smreczyńskiej polanie.

Bo ci z nich, którzy przybyli tu uprzednio, pokopali doły głębokie z niezmiernym trudem w skalistej ziemi, poczynili na nich wiązania z nawleczonych gałęzi i konarów i pokryli je mchem, aby stały zdradzie wilkom, i pozakładali żelaza na niedźwiedzie.

Ale „on" zaraz pierwszego dnia po wygonie wołów, w samo południe wypadł z kosodrzewu, ogromnego siwego wołu upatrzywszy. Wół w czas zoczył potwora, zaryczał ze śmiertelnej trwogi i zadarłszy ogon uciec począł; dognany jednak, mimo wściekłego ataku trzech psów, które nadbiec zdążyły, padł pod ciosami łap nieodpartych. Dwa jeszcze psy biegły z pomocą i siedmiu wolarzy — „on" cofnął się od zdychającego wołu w gęstwinę, ale dał znać, że jest że panuje, i odpowiedział na triumfalne wejście w jego królestwo.

Walkę podjął, i że nie zesłabł, pokazał.

I w pewną ciemną dżdżystą noc postanowił ponowić napad na sam środek polany, na koszary z owcami. Aliści nagle, przy wyjściu z kosodrzewu straszliwy ból przeszył mu boki i w zadnią łapę wpiły mu się z dwuch stron śpiczaste, długie żelazne zęby oklepca. Ryknął boleśnie i szarpnął nogę, atoli żelaza nie puściły, a gruby łańcuch i ogromny kłot drzewa z brzękiem, chrzęstem i łoskotem powlekły się za nimi. Rycząc począł się miotać i szarpać, nie mogąc się uwolnić, nie mogąc cofnąć, bo półkola żelazne, łańcuch i kłod zawadzały o każdą gałąź i każdy sęk kosodrzewiny.

I toczyła się powoli czarna dżdżysta noc ponad nim, nad jego rykiem strasznym, wyciem przerażonych wilków i zawziętym ujadaniem psów, które oblegały zdala miejsce jego nieszczęścia. Czasem z śród chmur wyjrzał wiszący w otchłani niebotyczny cień skały, jakby ciekawej: co się dzieje tam na dole, gdzie coś żyje, rodzi się i umiera...

I nastał świt. Blade światło rozlało się po dolinie, natychmiast ludzie wyszli z szałasu, z toporami i maczugami w ręku, i ostrożnie, powoli, z ujadającymi psami, poczęli podchodzić w górę. I stanęli w zdumieniu, albowiem ujrzeli „jego", bo go poznali po rozmiarach i czarnej sierci, może na jakich osiem wysokości ludzkich, z żelazem, łańcuchem i kłodem między konarami potężnego smreka, gdzie z bólu, rozpaczy i wściekłości szalony wylazł, naokół zaś powyrywane z korzeniami drzewka, pokruszone, pogruchotane, potrzaskane pazurami i zębami gałęzie, pomiażdżone krzaki kosodrzewu, powydzierane z ziemi głazy, ciężkie jak młyńskie kamienie.

Stali i patrzyli zdumieni, nie śmiejąc się zbliżyć.

— „On"...

— „On...

Wtem jeden pochylił się, podjął kamień napiął procę i puścił cięciwę. Wnet uczynił to drugi, a inni naciągali trzymane w gotowości łuki. Grad strzał i kamieni począł bić w konary, w pień i niedźwiedzia. Wówczas runął on na dół, aby rzucić się na ludzi, runął krwawy, pokaleczony kilku tkwiącymi pociskami. I poskoczył ku czeredzie napastników. Cofnęły się naprzód psy, zaskomlawszy, i pierzchły, w raz cofnęli się ludzie. Pozostał tylko jeden góral ze szpikulcem żelaznym, nasadzonym na grubym drzewcu bukowym. Wysoki szeroki w barach góral. Ten stał, wsparłszy trzon o głaz i nastawiwszy ostrze.

Wlokąc żelaza w podrzutach przypadł ku niemu „on", a gdy już był na kilka kroków, wspiął się aby łapą przednią w głowę uderzyć, i nabił się na nastawione ostrze piersiami.

I w ten czas z bliska spojrzał w oczy człowieka. Wtem topór ciśnięty przez jednego z juhasów zawarczał w powietrzu i wciął mu się w czaszkę za uszami, Zaraz drugi ugodził go w kark, trzeci w jedną z łap przednich. Także rzucane z ręki kamienie poczęły grzmocić mu w ciało. I zwalił się na bok z ostrzem w piersiach, łamiąc drzewce ciężarem upadku.

Człowiek uskoczył, natychmiast nadbiegły psy i za nimi ludzie. Dwa rozżarte kundysy wyzionęły życie z głuchym, przeraźliwym jękiem pod „jego" łapą. Strzały jednak, siekiery, maczugi, kamienie, ciskane z coraz bliższa, wytoczyły tyle zeń krwi, że stało mu się ciemno w ślepiach i bezwład opanował mu członki. Widział tylko, jak przez mgłę, posuwającego się ku niemu owego wysokiego, szerokiego w barach górala, co mu spisę pod pierś podstawił, i uczuł wstrząsający całym jego jestestwem straszliwy cios maczugi w czoło, pod którym głowa spłaszczyła się mu na ziemi.

I jeszcze przenikliwszy, nie do zniesienia, przeraźliwy ból rozwarł mu ciemne prawie ślepia; to przywalonemu już na wznak drągami jeden z juhasów pruł długim nożem brzuch i wypuszczał wnętrzności...

I wtenczas znowu ujrzał ludzi z bliska nad sobą.

Ciemne Smreczyny zostały opanowane, a „jego" potworną skórę, rozpiętą na wbitych w ziemię kulikach, suszyło słońce.

CYRYL I WANDA

Zaśnieżoną drogą od Huty Starej wspinała się ku Świętokrzyskiemu klasztorowi młoda dziewczyna. Szła szybko, jakby w obawie, że nadchodząca noc zastanie ją zbyt daleko od ludzkich siedzib.

Łączniczka AK. Wanda wracała z ostatniej dwutygodniowej podróży na tereny 7-mej DP. i, wypełniwszy zwykły obowiązek śpieszyła do swej ubogiej białej od wapienia mieściny jakich pełno widnieje w malowniczych siałdowaniach Łysogór.

Niewypowiedzianie trwożliwe myśli cisnęły się dziewczynie do głowy i niepokój ściskał ją za serce.

Czy aby wszystkich w domu zastanie całych i zdrowych?

Mija teraz szkielety spalonych wsi i miasteczek, zorane czołgami drogi, strzaskane gąsienicami szeregi drzew przydrożnych i sczerniałe ścierwo końskich trupów. Tu i ówdzie zaryte twarzą w przydrożnym błocie straszą przechodniów sine, odarte z mundurów i butów zwłoki niedawnych „władców", makabryczne, okropne ....

Ci już dzisiaj nie groźni. Nie wstaną.

Za to serce kurczy się z lęku na widok dzikich, pijanych mołojców baraszkujących beztrosko przed chałupami wsi „oswobodzonych". Wanda wzdryga się jeszcze na wspomnienie wyżartej ospą azjatyckiej gęby i lepkiej od brudu żołdackiej łapy wepchniętej brutalnie pod bluzkę w poszukiwaniu rzekomo ukrytego tam zegarka ...

Aby ich tylko gdzieś na drodze nie spotkać.

Droga przez Święty Krzyż nie należy w tej porze roku do przyjemnych. Od strony Kielc wznosi się ostrym garbem wśród majestatycznie milczących jodeł, aby potem aż do samej Słupi Nowej lecieć z góry na złamanie karku. Zwariowana droga. Ujdziesz kilometr i tchu w piersiach brakuje, a nogi na wyślizganym saniami śniegu ani rusz naprzód iść nie chcą...

Klasztor Świętokrzyski. Poważnie i wyniośle od lat niepamiętnych panuje nad okolicą ponury legendą kompleks szarych murów kościoła i więzienia widoczny hen od Kunowa i Bodzentyna, Iwanisk i Waśniowa, Klimontowa i Bogorii...

Przed wojną góra jaśniała nocami bijącą z okien kościoła i więziennych strażnic opalową łuną świateł wybledzających gwiazdy na granatowym firmamencie nieba. Wanda przypomina sobie jak w dzieciństwie niegdyś chłonęła w siebie z lękiem i zachwytem urok zaczarowanego szczytu. Postanawiała wówczas w swym maleńkim serduszku nie wyjechać stąd nigdy, na zawsze pozostać w biednej ale pięknej świętokrzyskiej krajnie.

Śmiali się z niej starsi, że wyrośnie z panieńskiej egzaltacji — sprzeniewierzy się urokowi gór dla innego uroku życia.

— Nie mieli racji — myśli Wanda — nie sprzeniewierzę się.

Nagle drgnęła.

— Wanda! — powiedział ktoś głośno od strony lasu — Dokąd tak pędzisz?

Na skraju stał Cyryl. W tym samym żołnierskim płaszczu, z partyzanckim chlebakiem przewieszonym niedbale przez ramię. Uśmiechnął się smutnie jak zawsze i brnął do niej przez rów.

— Wracasz nareszcie? Już tam twojej matuli mało serce z niepokoju o ciebie nie wyskoczy. Dniami i nocami bez przerwy cię wypatruje...

Nie pozwolił jej dojść do słowa, tylko uśmiechając się smutnie (och ten Cyryl nigdy nie rozpaczający!) dzielił się na swój sposób interpretowanymi wydarzeniami ostatnich dni.

— A ja, jako widzisz, znów ścigany energiczniej nawet niż za niemieckich czasów, zostaję wierny naszym świętokrzyskim jodłom. Nie sądzone mi było snać zbyt długo (przeszedł na swą ulubioną staropolszczyznę) zażywać wywczasów pod dobrej pani matki pierzyną. Takoż i błąkam się w puszczy samowtór...

— Daj spokój Cyryl, nie błaznuj — powiedz lepiej co u nas — zapytała na pół przytomnie.

Spoważniał.

— Powiedziałem ci już matula czeka, a braciszek jak ja podobnie sypia u Mateusza na strychu. Pytali się o niego — a jakże — szczęściem nie było go w domu... No nie martw się — krzyknął prawie — przy mnie nie zginie!

Posadził ją łagodnie na ośnieżonym głazie i mówił dalej.

— Widzisz Wanda, wpadliśmy — jak się to mówi — z deszczu pod rynnę. Zarzucono na nas olbrzymi wór podstępu i zakłamania. Popatrz na tych ludzi zalewających jak szarańcza nasze wsie i miasteczka. Wszystko zobaczysz: I stepy i Azję i zmotoryzowanego Dżingis-Chana i obrzydliwą perfidię wschodu zamkniętą w karykaturze fałszu i matactwa, — tylko nie Polskę. Mało tego. Ta szarańcza nas nienawidzi za wszystko rdzennie nasze — za tradycję, za kulturę, za normalne pojęcie wolności — za związki z Zachodem, za Tobruk i Cassino, za Narvik i Warszawę, za powstanie styczniowe i listopadowe, za pamiętny rok Dwudziesty... Mało powiedzieć nienawidzi — ścierpieć nas poprostu nie może gdyż zbyt wiele krzywd naszych narosłych w ciągu wieków woła o pomstę do nieba, zbyt wiele nieuregulowanych rachunków domaga się gwałtem zapłaty... Przebiegli i chytrzy są nasi nowi okupanci, wiedzą dobrze, że najlepszym sposobem likwidacji długu jest... ukręcenie głowy wierzycielowi.

Słońce staczało się powoli za Kielce i krótki dzień lutowy wartko dobiegał kresu. Wanda poruszyła się niespokojnie, ale szkoda jej było **przerywać Cyrylowych wywodów podkreślanych** żywą gestykulacją i rzetelnym argumentowaniem. Milczała.

— Zobaczysz Wanda. Ci nas ujarzmią na długo. Świat (ten daleki bezsilny świat!) nadal potrafią kiwać pseudo-demokratycznymi sztuczkami a la Jałta, a nas tymczasem za twarz... Będziesz posłusznie ciągnął sowiecki wózek i błogosławił „słoneczko" za każde uderzenie batem — dostaniesz porcję żarcia i garstkę barłogu w kazionnej ludzkiej stajni. Nie zechcesz — zginiesz. A to się już rozpoczęło na dobre. Spostrzegłaś może błazeńskie sztuczki organizatorów przyjaźni polsko-radzieckiej. Historia takiej jeszcze nie było: Przyjaźń i współpraca między poszkodowanym i złodziejem. Mają bestie tupet i swoiste poczucie humoru!

Nie martw się, damy im radę! Ducha w nas nie zabiją.

— W takich jak ty napewno nie — powiedziała z przekonaniem.

• • •

W części budynku szkolnego w którym teraz debiutowała Wanda ucząc wojenny „przychówek" ludzki zawiłych znaków abecadła, zagnieździła się Milicja. Nie było to specjalnie przyjemne sąsiedztwo. Zza ścian przesiąkały do klasy ciągłe krzyki i niewybredne wyzwiska, a nierzadko i odgłosy bicia. „Przesłuchiwano" podejrzanych o faszyzm Akowców. Dzieci przestawały wówczas pociągać nosami i w zasłuchaniu otwierały usta.

— Kumyndant krzycom prose pani...

— Co was to obchodzi. Przepisywać z tablicy.

Inspektor obiecywał kilkakrotnie zmienić istniejący stan rzeczy, ale Milicja okazała się mocniejsza. Daremnie.

Odkąd jednakże udało się Wandzie podsłuchać przypadkowo rozmowę o projektowanym aresztowaniu Konara i ostrzec go przed niebezpieczeństwem, przestała rozpaczać z racji niefortunnego sąsiedztwa. Tutaj przecież była kuźnia wszystkiego złego, tu lęgły się podejrzenia wobec „niebłagonadiożnych", tu dobiegały nitki wywiadu Bezpieki i tutaj wreszcie kończył się łańcuszek wydawnych z góry zarządzeń. Coraz częściej przesiadywała teraz po skończonych lekcjach w permanentnie „zagazowanej" przez dzieciarnię salce wynajdując nadprogramowe prace, aby zza cienkiej ściany wyłowić chociażby strzępy przyciszonych rozmów stanowiących nieraz o życiu i śmierci mieszkańców miasteczka.

Dzisiejszy wieczór wydał się jej szczególnie ważny: Przed posterunkiem zatrzymały się dwa auta i kierownik Bezpieki z wybłękitnionym kapitanem NKWD jakby nie dostrzegając prężących się przed gankiem milicjantów wkroczyli do wnętrza...

Drżącymi rękoma naciągnęła płaszczyk i wsunąwszy się cichutko do klasy wyjmowała uboższe książczyny ze starej szafy udającej bibliotekę...

Głosy za ścianą podnosiły się i opadały jak fala. Sowiet nie krępował się zupełnie. Mówił swobodnie — krzyczał prawie do przejętych tak ważną wizytą milicjantów. Mimo to wytężała słuch aby nie uronić żadnego słowa. Nie na darmo przyjechali o tak niezwykłej porze...

Nareszcie podświadomie oczekiwane pytanie.

— Lista podejrzanych gotowa?

— Gotowa panie kapitanie.

— Kogo tam macie? Przeczytać!

Komendant milicji jąkając się i krztusząc bełkotał posłusznie zadenuncjowane nazwiska żołnierzy rozwiązanej A. K. Sowiet przerwał raz poraz dopytując o różne nie zamieszczone na liście szczegóły. Lista była długa, zawierała dwadzieścia osiem nazwisk. Wanda notując te nazwiska trzęsła się ze zdumienia i grozy i nie zdziwiła się zupełnie, że i ją napiętnowano jako jedną z niebezpiecznych „faszystek"... Nie zapomniano o żadnym jej przestępstwie. Ani o tym, że ukończyła konspiracyjne liceum, ani o tym że prowadziła w czasie wojny zastęp harcerski, ani o jej pracy łączniczki w szeregach AK.

— Arrestowat' — zamknął czytanie enkawudysta — Wszystkich aresztować i odstawić do więzienia! Zapowiedział jeszcze przysłanie na jutrzejszy ranek plutonu Bezpieki i żegnany z honorami — odjechał.

Wandę pali jak ogień zaciśnięta w dłoni kartka. Dwadzieścia osiem nazwisk! Czy starczy jej chociaż sił i czasu aby ostrzec wszystkich przed grożącym niebezpieczeństwem?

Do Jędrka siedem kilometrów. Droga zła i ciemno choć oko wykol, ale zaryzykuje pojechać rowerem. Gorzej za to dotrzeć do Cyryla śpiącego dziś w zagrożonej chacie Szymonowej. Cztery kilometry zalanymi wodą łąkami to nie fraszka... Za rzekę pośle Weronkę. Jej można zaufać. Weronka już załatwi z Krabem i Sztachetą, a sama tymczasem do Muchańca. Miełek z przestrzeloną nogą musi mieć więcej czasu do ucieczki niż inni.

Montując trudny „rozkład biegów" zamkniętych w kilku szczupłych godzinach kwietniowej nocy, Wanda z przykrością spostrzegła, że nie będzie nawet czasu pożegnać się z matką.

• • •

Siedzą teraz wszyscy w stodole starego Mateusza.

Ubezpieczyli „objekt" jak za dawnych czasów, wyciągnęli rozpylacze ze skrytek i radzą...

Jędrek agituje za wyjazdem na Ziemie Odzyskane. — Tam — mówi — ślad po nas zaginie. Nie wynajdą.

Czajka jest zdania, że tylko wyjazd za granicę zabezpieczy ściganych za winy niepopełnione od wcześniejszej, czy późniejszej wpadki. Ktoś inny proponuje Prusy Wschodnie lub Wybrzeże...

Milczący dotąd Cyryl podniósł wreszcie głowę.

— Nie — powiedział. Nasze miejsce jest tutaj. Tuśmy się urodzili i wyrośli i tuśmy przetrwali z bronią w ręku jednego okupanta.

W stodole zaległa cisza.

— Jesteśmy jak te jodły wrośnięci w Ziemię Świętokrzyską i stanowimy jej część nierozdzielną. Powiedziałem: Przetrwaliśmy jednego okupanta, przetrwamy i drugiego. Nie wierzę aby świat nie dowiedział się kiedyś o naszym istnieniu... Nie będą się tułać po obcych śmieciach chłopcy od Nurta, Barabasza i Ponurego — od Marcina, Przeboja i Andrzeja... Zmieniają się i nikną tylko ludzie słabi, a tych nie mamy zamiaru ślepo naśladować. Czy będziemy okłamywać sami siebie, że Polska jest niepodległa? Nie ma jej, więc jeszcze raz zejdziemy do podziemia i tam się staniemy protestem przed bezprawiem, staniemy się raną piekącą nieczyste sumienie świata...

W szumie jodeł obejmujących zielonymi ramionami zacisze Mateuszowej zagrody, ważyły się losy tysiąckroć zawiedzionych w swych serdecznych nadziejach ludzi... W mocnych i bezlitośnie realnych słowach Cyryla, Kraj na nowo upokarzany, szykanowany i rozdarty na dwoje na poprzek własnego serca, niczem ktoś bliski i ukochany żalił się na swoją niedolę...

Nie padło ani jedno słowo sprzeciwu kiedy Cyryl zakończył przemówienie.

SZCZEP.

SEWERYNA SZMAGLEWSKA

Wigilia w obozie

(Z książki p. t. „Dymy nad Birkenau")

Czas idzie poprzez dni jesieni, poprzez tygodnie epidemii, poprzez miesiące niewoli. Nadeszła druga Wigilia kobiet w obozie.

Śnieg pada nieprzerwanie od kilku dni, chmury nieruchomo zawisły nad ziemią i rzec by można otwarły się bez pośpiechu, wolniutko i równo zsypuje się bezmiar śnieżnej bieli. Wiruje chwilę, nim wybierze miejsce i padnie, pojedyńczymi płatkami czepia się w przelocie rzęs i brwi, dotyka ust, by natychmiast stopnieć, osiada na włosach i ubraniu przykuwając oczy do swego misternego kształtu. W tym kraju zupełnie piękna, wzrok chętnie zatrzymuje się na maleńkiej gwiazdeczce śniegu, która padła na rękaw i drży na nim poruszana wiewem zamieci, zanim stopnieje lub uleci w dalszą drogę.

Miliardy wirujących płateczków krążą wokoł lamp jak drobno białe owady, które gromadami ciągną do światła błądząc w jego zasięgu. Światło lamp nie pada już na ziemię ani na druty stożkiem zimnego blasku — i pada wirującą, roztańczoną zadymką, która puszystością śniegu przysypuje rozgałęzienia kolczastych drutów, otula izolatory i coraz grubszą warstwą osiada na ziemi. Na betonowych słupach narastają białe czapy, budki wartownicze obrosły śniegiem jak mchem, każdy przedmiot i budynek ma na sobie biały pokrowiec.

Zamieć przesłania wszystko i wszystko głuszy. Nie słychać ludzkich kroków, które toną w głębokim śniegu, nie słychać głosów, wchłania je w siebie wirująca chmura.

A jednak w tej bieli, w tej zadymce ktoś czeka, ktoś woła z jej głębi — trzeba krążyć pomiędzy barakami i patrzeć, czy poprzez sypiący śnieg nie ujrzy się gdzieś znajomej postaci, trzeba iść pod same druty, pod sam dąb stojący w zawiei, a potem przez bramę z obozu do obozu, w stronę baraków szpitalnych.

Krok w krok idzie ktoś niedosłyszalnie po śniegu, przemawiając mową ciszy. Śnieg sypie — śnieg pada — natura w miłosierdziu swym wielkim pragnie całunem niepokalanej bieli otulić to wielkie cmentarzysko, przysypać nagość ciał leżących przy blokach i pod krematoriami.

Tego roku udało się pracującym w polu wnieść do obozu dość dużo maleńkich choinek, mierzących dwie, trzy stopy. Umieszczono je na kojach, kładąc pod nimi listy od najbliższych.

Gdy się długo nie widziało swojego domu, zapach gałązek choinki i blask jedynej, gdzieś z trudem zdobytej, świeczki mogą dokonać cudu.

Dłonie spotykają się na białym opłatku przysłanym z domu w świątecznej paczce, łamiąc po małej okruszynie, żeby go jeszcze dla wielu **współtowarzyszek starczyło, a uśmiech** rozjaśnia skupione twarze kobiet. Wiedzą, że o tej właśnie porze pierwszej gwiazdy — rodziny ich dzielą również opłatek składając życzenia obecnym — i nieobecnym. A wspomniawszy istoty drogie w obozach koncentracyjnych, w nieznanej niedoli trwające, nie mogą powstrzymać łez.

Kobiety siedzące na kojach nie płaczą. Tu się nie szuka smutku. Tu się go delikatnie odsuwa, jeżeli to można zrobić dla siebie i innych, choć na krótką chwilę złudzenia.

Lecz smutek nie odstępuje. On tylko cofa się o krok, poza zasięg światła choinkowych świeczek, ukazując się w cieniu twarzami zmarłych towarzyszów niedoli, których brak w gronie żywych.

Wzrok obecnych skupia się na płonącej świeczce, ktoś zasłuchany w własne słowa i w skupienie siedzących opowiada wigilijną bajkę. Oczy wpatrzone w bieg fantatycznych zdarzeń nie dostrzegają, że świeczka gaśnie, że barak pogrąża się w mroku i tylko po belkowaniach i przęsłach pod dachem przesuwa się czasem odblask świateł. Z mroków, z sąsiednich koj, wstaną za chwilę i przyjdą istoty, które tu żyły przed rokiem.

Kiedyś, gdy opustoszeje obóz, one tu pozostaną i w wieczory zimowe, może w taki jak dziś Wieczór Wigilijny, gdy wiatr nawieje śniegu do wnętrza baraku, przywoływać będą z mroków nocy wigilijną bajkę.

Ludzie — Myśli — Zdarzenia

MOHIKANIE WRACAJĄ

Urząd Statystyczny w Waszyngtonie podał, że ilość Indian w Stanach Zjednoczonych wzrasta co rok o 1 % i obecnie wynosi już ponad 246 tysięcy, podczas gdy w r. 1880 było ich tylko 225 tysięcy. Dzielą się oni na prawie dwie setki różnych szczepów, żyjących w specjalnych rezerwatach w zachodniej i południowo-zachodniej części kraju.

Również i położenie materialne Indian znacznie się polepszyło od tej chwili, gdy ich przodkowie sprzedali białym za butelkę wódki wyspę Manhatan, na której dziś stoi większa część Nowego Jorku. Dziś w posiadaniu Indian znajduje się 22 i pół miliona hektarów ziemi, wartości ćwierć miliarda dolarów. Niektóre z tych terenów zawierają pokłady ropy naftowej a ich czerwonoskórzy posiadacze są milionerami.

Słynna powieść J. F. Coopera p. t. „Ostatni Mohikanin" nie sprawdziła się, chociaż przyczyniła się zapewne do polepszenia doli Indian. Dzisiaj Mohikanie mnożą się i bogacą.

WALKA O „PŁODNE MÓZGI"

Między możnymi narodami tego świata toczy się obecnie zacięta walka o pozyskanie jak największej ilości uczonych i badaczy, słowem takich „płodnych mózgów", które pozwoliłyby rozwinąc kontrolę nad wszystkimi wynikami nowoczesnych badań naukowych na całym świecie. Wojna ostatnia stworzyła wprost niebywałą koniunkturę dla wszelkiego rodzaju uczonych, którzy się też cieszą wielkim popytem bez względu na narodowość. Uczonych niemieckich wprost eksportuje się na wyścigi na wschód i na zachód, wyszukując starannie wszystkich, jacy się jeszcze mogą nadać.

Obecnie 15 tysięcy uczonych, od specjalistów z zakresu aerodynamiki do zoologów włącznie, pracuje w blisko 500 instytutach badawczych w **Stanach Zjednoczonych. Ale to wszystko jest** za mało, bo na konferencji w uniwersytecie w Princetown stwierdzono, że Stanom Zjednoczonym do zrealizowania zakreślonego na r. 1947 programu „ekspanzji naukowej" zabraknie jeszcze 17-tu tysięcy naukowców.

W Unii Sowieckiej istnieje podobno ponad 2 tysiące różnego rodzaju laboratoriów naukowych, w których pracuje 40 tysięcy naukowców i sił pomocniczych. Rząd uważa, że ilość ta jest zupełnie nie wystarczająca.

W. Brytania, jak stwierdzono na „Empire Scientific Conference" cierpi na „katastrofalny brak uczonych o prawdziwie twórczej umysłowości".

Cele tak pojmowanej „nauki" oraz tworzenie sztucznych koniunktur naukowych, połączonych z łowami na specjalistów, z pewnością nie przyczynią się do rozwoju bezinteresownej i wszechstronnej nauki, służącej prawdziwemu dobru ludzkości.

Mordercy lotnika skazani

Sąd Wojskowy w Oldenburgu rozpatrywał sprawę dwoch Niemcow, 18- i 23-letniego którzy napadli 27. sierpnia w lesie jadącego na rowerze żołnierza polskiego lotnictwa i zamordowali go, łamiąc pałkami kręgosłup. Zwłoki po zabraniu pierścionka ukryli w jamie pod gałęziami. Przed sądem podali (wg. „Nordwest-Zeitung" 64) następujący motyw: „Silna antypatia spowodowała u nich zamiar pobicia Polaka, by stworzyć odstraszający przykład przeciw ciągłemu plądrowaniu miejscowości przez Polaków. Nie mieli najmniejszego zamiaru zabicia go." — Obu skazano na śmierć.

Żydzi z Rosji

Z Rosji do Polski repatriowano dotąd 136.000 Żydów, z których 75 % skierowano na Dolny Śląsk.

KALENDARZYK

GRUDZIEŃ 1946

22. niedziela — IV-ta ADWENTU
— Honoraty, Zenona
23. poniedz. — Wiktorii
24 wtorek — Wigilia. Boż. Narodz.
— Adama i Ewy
25. środa — BOŻE NARODZENIE
26. czwartek — Św. SZCZEPANA, 1-go męcz.
27. piątek — Jana Ewangelisty
28. sobota — Św. Św. Młodzianków

CZWARTA NIEDZIELA ADWENTU

Myśl przewodnia liturgii niedzielnej. Ostatnia niedziela Adwentu szczególnie przygotowuje nas na podwójne przyjście Zbawiciela: bliskie już Narodziny Miłosierdzia w dzień Bożego Narodzenia i przyjście Sprawiedliwości na końcu świata. Wszystkie teksty dzisiejszej mszy św. odnoszą się bądź do jednego, bądź do drugiego oczekiwania.

LEKCJA z I. listu św. Pawła do Koryntian 4, 1—5. Każdy chrześcijanin jest sługą Chrystusa i szafarzem tajemnic Bożych, a od szafarza wymaga się, by był wierny. Sądy ludzkie o bliźnich są omylne: „przeto nie sądźcie przed czasem, aż przyjdzie Pan, który wystawi na światło, co się kryje w ciemności i objawi zamiary serc: a wtedy każdemu dostanie się chwała od Boga".

EWANGELIA według św. Łukasza 3, 1—6, podaje nam historycznie dokładnie, że w piętnastym roku panowania cezara rzymskiego Tyberiusza Jan, syn Zachariasza, na zlecenie Boże przebiega okolice nad Jordanem i „głosi chrzest pokuty na odpuszczenie grzechów", zgodnie z tym, co przepowiedział prorok Izjasza, mówiąc o „głosie wołającym na puszczy: Drogę gotujcie dla Pana, Jemu prostujcie ścieżyny. Niech wszelki parów zapełnią, szczyt każdy zniżą i wzgórze, niech drogi krzywe sprostują i chropowate wygładzą. A wtedy człowiek wszelaki Zbawienie Boże obaczy."

UROCZYSTOŚĆ NARODZENIA PAŃSKIEGO

Okres Bożego Narodzenia zaczyna się w wigilię tego święta i kończy się jeżeli chodzi o cykl świąt — w oktawę Trzech Króli, a jeżeli chodzi o cykl świętych — w wigilię Oczyszczenia NMPanny (2. lutego). Przedmiotem wszystkich obrzędów okresu Bożego Narodzenia jest tajemnica Wcielenia Syna Bożego, który jako Słowo przedwieczne czerpie ustawicznie swe Boskie życie z łona Ojca (narodziny wieczne), który podnosi do Boga naturę ludzką, wziętą w czasie z łona Dziewicy Matki, (narodziny w czasie) i który w ciągu wieków łączy się wciąż z duszami ludzi [illegible] Kościoła, jako Mistycznego Ciała Chrystusa). Istotą tej wielkiej tajemnicy Wcielenia jest to, że w Jezusie jednoczy się Słowo, zrodzone przed wiekami z Ojca, z człowieczeństwem zrodzonym w czasie z Przeczystej Dziewicy Marii. Tajemnica ta dopełnia się przez łączność naszą ze Zbawicielem, który nas rodzi do życia wiecznego (narodziny duchowe).

MSZA PIERWSZA — ANIELSKA

Każdy kapłan katolicki ma w ten dzień przywilej odprawienia trzech mszy św., z których pierwsza, odprawiana o północy nazywa się anielską (u nas popularnie „pasterką").

LEKCJA z listu św. Pawła do Tytusa 2, 11—15. podaje naukę o dziele Odkupienia, dokonanym przez Jezusa, który jest Bogiem i Zbawicielem, a którego w Swej łasce zesłał nam Bóg. Naszym życiem powinniśmy zasłużyć na Jego przyjście, jako Sędziego Sprawiedliwego.

EWANGELIA z według św. Łukasza 2, 1-14 zawiera opis Narodzin Pierworodnego Syna Marii, który w braku miejsca w gospodzie narodził się w żłobie. Pasterze zawiadomieni przez Aniołów, że narodził się Zbawiciel, udają się, aby Dzieciątku złożyć hołd. Zastępy wojska niebieskiego wielbią Boga, mówiąc: „Chwała Bogu w niebie i na ziemi; pokój ludziom dobrej woli!"

MSZA DRUGA — PASTERSKA

LEKCJA z listu św. Pawła do Tytusa 3, 4—7. Apostoł wyjaśnia, że nie dla naszych uczynków sprawiedliwych, ale z Bożego miłosierdzia zbawił nas Chrystus, abyśmy przezeń usprawiedliwieni mogli stać się „dziedzicami żywota wiecznego."

EWANGELIA według św. Łukasza 2, 15-20. Pasterze przychodzą i znajdują Józefa, Marię i Dzieciątko złożone w żłobie. Zobaczywszy rozpowiadają nowinę o tym co widzieli i wielbią Boga za wszystko co widzieli i słyszeli, „tak jak im było obiecane".

MSZA TRZECIA — KRÓLEWSKA

Również i tę mszę odprawiano w bazylice Matki Boskiej Śnieżnej w Rzymie, ale już za dnia. Liturgia jej a szczególnie Ewangelia znów zaznacza potrójne narodziny Zbawiciela. Ostatnia Ewangelia opisuje hołd Mędrców i Królów ze wschodu, pierwszych pogan śpieszących uznać Zbawiciela.

LEKCJA z listu św. Pawła do Żydów 1, 1-12. Przytaczając znane teksty prorocze, zapowiadające przyjście Zbawiciela, który jest Synem Bożym, Apostoł wyjaśnia nawróconym Żydom, że Jezus Chrystus jest Odkupicielem.

EWANGELIA według św. Jana 1, 1—14, odmawiana na końcu każdej mszy św., zawiera istotę liturgii Bożego Narodzenia, mówiąc właśnie o owym trojakim narodzeniu Chrystusa Pana. „Na początku było Słowo ... a Bogiem było Słowo ..." bo Syn Boży rodzi się wiecznie z Ojca. „A Słowo stało się ciałem ...", gdy się Syn Boży narodził jako człowiek. A duchowo rodzi się Zbawiciel ustawicznie w Swym ciele Mistycznym w Kościele, w duszach wiernych Mu i oddanych ludzi, gdyż tym wszystkim, którzy Słowo przyjęli „dało moc, by się stali synami Bożymi ..."

26. GRUDNIA — UROCZYSTOŚĆ ŚW. SZCZEPANA PIERWSZEGO MĘCZENNIKA

Św. Szczepan jest pierwszym, który swą śmiercią dał świadectwo prawdzie Chrystusowej. Godzien jest, by pierwszy stanął w orszaku świętych, którzy otaczają kolebkę Dzieciątka Jezus.

LEKCJA z Dziejów Apostolskich 6, 8—10; 7, 54—60 zawiera opis ukamienowania Szczepana, który „pełen łaski i mocy czynił cuda wielkie między ludem" i patrząc w niebo opisywał Zbawiciela w pełni Jego chwały.

EWANGELIA według św. Mateusza 23, 34-39. Jezus przepowiada uczonym żydowskim i faryzeuszom, że na nich spadnie krew tych proroków i mędrców, którzy będą do nich od Boga wysłani, a których oni będą ścigać i zabijać. Piętnując wobec zebranych tłumów obłudę i niegodziwości przywódców tego ludu, Jezus woła: „Jeruzalem, Jeruzalem, które zabijasz proroków i kamienujesz tych, których do ciebie wysłano! Ileż to razy chciałem zgromadzić dziatwę twą, jak kokosz gromadzi pod skrzydła pisklęta swe, a nie chciałoś!" Zbawiciel zapowiada im, że Go nie ujrzą, aż uznają go swym Mesjaszem, co jak wiadomo ma nastąpić dopiero pod koniec świata.

Kursy dla pracowników I.R.O.

W Neustadt koło Hanoweru odbyły się urządzone staraniem władz zarządu wojskowego kursy dla przyszłych pracowników IRO (Międzynarodowej Organizacji dla Uchodźców). Kandydatów podawała UNRRA. Wybierano inteligentów mówiących po angielsku z pośród wszystkich narodowości DP. Mają oni stać się łącznikami między IRO a samorządami osób wysiedlonych. Wykładowcami byli: jedna Amerykanka i czterech Anglików. Amerykanka oświadczyła w jednym z wykładów, że jest jej wstyd za sposób obecnego traktowania DP. Kursy były prowadzone w języku angielskim i tłumaczone na niemiecki. Wypowiedziane przez jednego z wykładowców rady powrotu do macierzystych krajów wywołały ożywioną i ostrą dyskusję.

Nowe Wydawnictwa

Ruchliwa placówką wydawnicza tygodnika pn. „JUTRO PRACY", który już trzykrotnie zmieniał miejsce ukazywania się i ostatecznie musiał zawiesić swą działalność wskutek zakazu, wydaje powielane i drukowane utwory literackie w postaci małych, estetycznych broszur. I tak jeszcze w Knechtsteden ukazały się jako nry 8, 12 i 14 tego wydawnictwa nowele B. Prusa: „Antek", „Nawrócony" i „Sen", a jako nr. 11 zbiorek nowel: B. Prusa: „Z legend dawnego Egiptu", wyjątek z „FARAONA" i M. Konopnickiej „Dym nad kotłownią". Jako skrypt powielany to samo wydawnictwo wydało E. Mielcarka „Dzieje Polski na tle dziejów powszechnych."

Nakładem Polskiego Związku Wychodźtwa Przymusowego w Hanowerze ukazała się broszura pt. „MOJE DZIECKO". Autorami jej są dr. J. Michel-Lechiński i p. Ellen Krusel, duńska pielęgniarka UNRRA. Broszura zawiera zbiór wykładów wygłoszonych przez oboje autorów na kursach dla młodych matek w polskich obozach wysiedleńczych.

Szykany

W tygodniu „NARÓD I PRACA" wychodzącym w Hanowerze znajdujemy list do redakcji, w którym przytoczony jest taki dokument:

„1) Wszystkie osoby (mężczyzni) muszą pracować w okolicznym „Stahlwerku". Ci którzy nie będą pracować — czyli nie zechcą — będą odesłani do kraju pochodzenia i pozbawieni natychmiast prowiantu!

2) Wszystkie osoby, które przemawiają przeciw repatriacji lub odmawiają wyjazdu do kraju — mają być natychmiast aresztowane. Moje biuro postara się u władz okupacyjnych — by osoby te zostały usunięte!

Podpisano:
Woods — Dir. UNNRA Team 236."



RYS. PPOR. MARIAN SZLAJBER.

KALENDARZYK

GRUDZIEŃ 1946

29. niedziela — W OKTAWIE BOŻ. NAR.
— Tomasza Becketa, męcz.
30. poniedz. — Eugeniusza, Bogdana
31. wtorek — Sylwestra I-go, pap.

STYCZEŃ 1947

1. środa — NOWY ROK
— Mieczysława
2. czwartek — Bazylego, Makarego
3. piątek — Genowefy
4. sobota — Tytusa

29. GRUDNIA — NIEDZIELA W OKTAWIE NARODZENIA PAŃSKIEGO

Myśl przewodnia liturgii niedzielnej. Przed przyjściem Zbawiciela człowiek był jakby niedojrzałym dzieckiem, które w swych prawach nie różni się od niewolnika. Chrystus Pan przyszedł na ziemię, abyśmy się stali prawdziwymi dziedzicami Bożymi, przybranymi synami Boga. Introit dzisiejszej mszy św. przypomina ową noc, gdy Bóg ukarał Egipcjan, zabijając ich dzieci i umożliwiając oswobodzenie Izraela. Podobnie było i owej świętej nocy, gdy Błogosławiona Maria Panna wydała na świat Zbawiciela, który wyzwolił ludzkość.

LEKCJA z listu św. Pawła do Galatów 4, 1—7. Apostoł wyjaśnia, że z nastaniem „pełności czasu" ... posłał Bóg od Siebie Syna Swego, który stał się synem niewiasty poddanym zakonowi, aby tych, którzy pod zakonem byli wykupił, żebyśmy i my dostąpili synostwa." Duch św. zesłany nam przez Boga uczy nas mówić do Boga „Ojcze", jesteśmy tedy synami i dziedzicami Bożymi.

EWANGELIA według św. Łukasza 2, 33-40. W czterdzieści dni po urodzeniu według praw żydowskich niesiono pierworodnego syna do świątyni, aby go ofiarować Bogu. Gdy Józef i Maria przynieśli tam Jezusa, święty starzec Symeon proroczo przepowiada Marii, że tylko w Jezusie będzie zbawienie ludzkości, gdyż „oto przeznaczon jest Ten na upadek i na powstanie wielu w Izraelu i na znak, któremu sprzeciwiać się będą, twoją zaś własną duszę miecz przeszyje..." Prorokini zaś Anna stwierdza wobec wszystkich, że Jezus jest tym, którego oczekiwali, Zbawicielem.

UROCZYSTOŚĆ OBRZEZANIA P. N. JEZUSA CHRYSTUSA czyli NOWY ROK

Myśl przewodnia liturgii świątecznej. Mojżesz nakazał w swym prawie, by każdy chłopiec był w ósmym dniu po urodzeniu obrzezany. Był to obrzęd oczyszczający, który był figurą chrztu. Chrystus chciał się poddać temu prawu, by wykazać prawdziwość Swego wcielenia, by dać przykład pokory i posłuszeństwa, by stwierdzić, że należy do potomstwa Abrahama, by nie być dla Żydów zgorszeniem, ale mieć do nich łatwiejszy dostęp.

We mszy dzisiejszej znajdujemy wiele ustępów odnoszących się do świeżego wciąż faktu Narodzenia Jezusa oraz modlitwy wzięte z mszy wotywnej do N. M. Panny, której zaraz po Bogu zawdzięczamy Zbawiciela. Oto w jednej z nich modlimy się: „Boże, któryś płodnym Dziewictwem Najświętszej Marii dla rodu ludzkiego łaskę wiecznego zbawienia zgotował, daj miłościwie, prosimy, abyśmy doznali skutecznego pośrednictwa Tej, przez którą zasłużyliśmy Dawcę życia otrzymać, Pana naszego Jezusa Chrystusa, Syna Twojego, który z Tobą żyje i króluje....

LEKCJA z listu św. Pawła do Tytusa 2, 1-15 — tą sama co na mszę anielską w dzień Bożego Narodzenia.

EWANGELIA według św. Łukasza 2, 21. „Onczas: Gdy nadszedł dzień ósmy, w którym należało obrzezać Dziecię, nadano Mu imię JEZUS, zapowiedziane przez Anioła, zanim się w łonie poczęło."

Jeszcze jeden dokument

Podajemy bez komentarzy:

„Władze brytyjskie mimo wydania szeregu rozkazów, otrzymują stale wiadomości o trwającej nadal w obozach propagandzie antyrepatriacyjnej w postaci druków, gazet, ulotek i t. p.

Ta propaganda winna ustać. Należy przedsięwziąć wszelkie kroki wykrycia osób szerzących tego rodzaju propagandę. W razie wykrycia akcji antyrepatriacyjnej jakiś osób, lub organizacji należy o tym niezwłocznie powiadomić centralne biuro 805 UNRRA Team przysyłając jednocześnie materiał antyrepatriacyjny wzg. nazwiska osób, które w miarę możności, należy przytrzymać Komendanci obozów winni zaniedbania lub tolerowania tej sprawy będą pociągnięci do dyscyplinarnej odpowiedzialności,

I. Poniżej podaję wykaz czasopism dozwolonych do kolportowania w brytyjskiej zonie:

1. Wiadomości dostarzane przez I.S.C.
2. Nasz Płomyczek dostarczane przez I.S.C.
3. Jutro Polski dostarczane przez Min. Spr. Zagr. (brytyjskie)
4. Tygodnik Polski przez Polską Ambasadę w Londynie
5. Następujące pisma dostarczane przez Misję Repatriacyjną:
   a) Rzeczpospolita
   b) Repatriant
   c) Dziennik Bałtycki
   d) Głos Ludu
   e) Życie Warszawy
   f) Kurier Codzienny
   g) Dziennik Ludu
   h) Robotnik
   i) Żołnierz Polski

II. Kolportowanie następujących pism jest wzbronione:

a) Defilada
b) Dziennik Polski
c) Czuwaj
d) Nasz Śląsk (w języku polskim)
e) W roku 1945
f) Świątpol
g) W Imię Boże
h) Polonia
i) Głos Polski

oraz

a) Ukrainian Informer
b) Libekas Vestnesia
c) Laises Varpas
d) Sonunid
e) Esti Teated

BAOR., 8. listopada 1946.

Director UNRRA Team 805.

WYDAJE PLUTON OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM PIERWSZEJ DYWIZJI PANCERNEJ ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI P/40/OS POLISH FORCES, B. A. O. R.